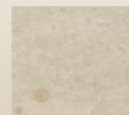


WŁODZIMIERZ DAJCZ



ODŁAMKI CZASU

Autor: Włodzimierz Dajcz

Tytuł: Miejsca magiczne

Wybór opowiadań z książki Odłamki czasu

Korekta: Małgorzata Choszcz

Okładka: Paweł Lis

Wydawca: Beezar.pl

Data wydania: 2014

Motto:

**Życie bez zmartwychwstania
nie miałoby sensu – Jan Paweł II**

Wstęp

Ta książka powstała z poskładanych odłamków czasu a raczej ze śladów tych odłamków zapisanych w zanikającej pamięci, kogoś, kto był świadomym obserwatorem pewnego ciągu wydarzeń, czynnym uczestnikiem pewnego spektaklu, ale też bezwolnym jego rekwizytem. To przedstawienie ciągle trwa, choć inne jest już tempo akcji i scenografia a aktorzy tego widowiska zmieniają się sukcesywnie. Przychodzą nowi w miejsce tych, co odeszli w inną, może wirtualną przestrzeń. Fabuła tej opowieści osnuta została wokół spirali losów ludzkich z akcji, o której niewiadomo, kiedy się zaczęła, ani kiedy nastąpi jej kres.

Istotą tej akcji jest przemijanie, które jest jak się wydaje pasem transmisyjnym życia, wprowadzie naznaczonym przekleństwem śmierci, ale też nadzieją na nieskończoność istnienia, skoro wszystko na tym świecie ma swoje przeciwieństwo. Jeśli dobro jest odwrotnością zła a światło ciemności to uznając tę zasadę za uniwersalną nie można wykluczyć, że przemijanie ma swoje przeciwieństwo a więc nic nie ginie ostatecznie, tylko zostaje utrwalone w głębi największej tajemnicy wszechświata, do której poznania nieustannie dążymy od zarania powstania świadomości.

Magiczny zakątek

Było to szczególne miejsce na ziemi. Kilka włościańskich zagród o długiej historii, sięgającej XIV wieku powstałych na tym uroczysku z woli magnackiego rodu Krzysztoporskich tworzyło w połowie dwudziestego wieku jedyny w swoim rodzaju układ urbanistyczny nadający temu zakątkowi magiczny charakter. Sama substancja mieszkalno-gospodarcza ulokowana na powierzchni zaledwie kilku hektarów stanowiła tylko urokliwą formę przestrzenną, w którą życie wpisało dzieje kilku zamieszkałych tu rodzin. W tym miejscu uzyskałem pewnego dnia pamięć i świadomość samego siebie. Rozwój chemicznych procesów zachodzących w moim mózgu umożliwił, choć wybiórczo i w formie szczątkowej powstanie zapisu zdarzeń na ścieżce biegnącego czasu. Z powodu niedoskonałości tej substancji i jej postępującego zużycia zapis ten został w znacznym stopniu zdekompletowany a utrwalone odłamki czasu są nieliczne, wyblakłe i częściowo zatarte. Nic, więc dziwnego, że nie jestem a stanie ustalić, kiedy to uzyskałem świadomość własnego ja w odniesieniu do otaczającego mnie świata rzeczy i zjawisk. Na początku ów świat ograniczał się do tego Magicznego Zakątka, który stanowił pierwszą znaczącą przestrzeń mojego poznania od momentu, kiedy podniosłem się z czworaków zacząłem wymawiać pierwsze wyrazy i przekroczyłem samodzielnie próg domu Wojciecha Motyki. Po wschodniej stronie posesji, naprzeciwko domu dziadka mieli swój domek Gąsiorowie. Dom był murowany, dwuizbowy, kryty papą. Siostra Wojciecha; Józefa była wdową mieszkającą z synami Stanisławem i Edwardem. W głębi działki, prawie w polu pobudował się najstarszy syn ciotki Józefy, Władysław. Pozostałe rodzeństwo mieszkające kiedyś razem w drewnianym domu Józefa Motyki rozeszło się po świecie. Jan ożenił się i mieszkał na Folwarku, córka Stanisława za Pawłowskim mieszkała w sławnej Krakowiance przy ulicy Kościuszki a Marysia i

Różia też wyfrunęły; ale do Piotrkowa. Właściwa dzieciom ciekawość kierowała moje kroki w stronę oddalonych zaledwie 8 metrów drzwi pomalowanych bordową farbą rozpuszczaną w lnianym pokoście. Wabiły mnie tam dziecinne głosy wnuków ciotki na tyle już wyrosniętych, żeby samodzielnie odwiedzać babcię. Z Krakowianki przychodziły dzieci Pawłowskich Marek i Irena, Folwarku Alicja córka Jana a trzech synów i córka Władysława przebywali niemal codziennie. Ciotka traktowała mnie nad wyraz życzliwiej, jako jedyne go wóczas wnuka swojego jedyne go brata. Siadywała na krześle przy kuchni. Miała już więcej jak siedemdziesiąt lat i prezentowała się dostojnie w czarnym, zapinanym na guziki swetrze z owczej, własnoręcznie przędzonej i farbowanej wełny i ciemną sukienkę jak na wdowę przystało. Siwe, proste i mocne włosy zaczesywała do góry i spinała w tyle głowy. Była słusznego wzrostu i emanowała jakąś siłą, którą łagodził jednak dobrotliwy uśmiech, taki sam, wypisz, wymaluj jak u mojego dziadka. W mieszkaniu nie było sprzętów zbyt wiele, przez co nosiło ono piętno pewnej surowości. To zrozumiałe, bo trudno się spodziewać zbytku u wdowy, która wychowała siedmioro dzieci i wraz z mężem Jozefem pobudowali się po pożarze, który strawił zagrodę ojca Józefa Motyki. Wśród nielicznych kuchennych mebli i przedmiotów codziennego użytku moją ciekawość budziła stojąca pod oknem szafka. Przysadzista, prawie sześcienna bryła pełniła też rolę kuchennego stołu, Sam zewnętrzny wygląd nie zdradzał jej przeznaczenia, dopiero otwierając drzwiczki można było zobaczyć, że szafka ma podwójne ścianki i pojemnik na lód. Ta „starożytna” chłodziarka służyła latem do przechowywania łatwo psującej się żywności. Topiący się lód obniżał temperaturę w szafce o skroplona woda zbierała się w blaszanym pojemniku. Sprzętem tego typu posługiwano się niezmiernie rzadko, bo lód był dostępny tylko zimą, kiedy nie był potrzebny. Zupełnie inaczej było we Woli, gdzie Fabryka Chemiczna gromadziła na lato lód w ogromnej stercie okrytej grubą warstwą trocin, bo był potrzebny w procesie produkcji barwników. Synowie ciotki Józefy pracowali w fabryce skąd za zgodą przełożonych mogli sobie uszczknąć trochę lodu i taka była cała tajemnica letniej sprawności ciotczynej lodówki.

Między domami Józefy i Wojciecha znajdowała się brama na świat. Tu zaczynał się i kończył Magiczny Zakątek. Dalej tętniła życiem wiejska ulica, zaśnieżona zimą, zakurzona latem. Jednym z filarów owej bramy był kultowy na wsi ogródek kwiatowy za płotem z drewnianych sztachet. Ogródek osłaniały dwa rozłożyste. Dorodne drzewa czarnej wiśni. Z linii płotu wychylała się na ulicę studnia z betonowych cembrowin zaopatrzona w skrzypiący kołowrót z wiadrem blaszanym kiedyś ocynkowanym, pogiętym nieco od uderzeń i ocierania się podczas ciągnięcia podczas wyciągania z czeluści studziennej na długim, żelaznym łańcuchu. Drugim filarem tajemniczej bramy była szczytowa ściana domu ciotki Józefy stojącego bliżej ulicy, prze, co zabrakło przed nim miejsca na ogródek. Na wschód od domu ciotki była zagroda Olczyka zabudowana szeregowo ze względu na szczupłość działki. W szczycie od ulicy było wejście do słynnej knajpy Stanisława Woszczyka, męża Celiny. Najstarszej córki Olczykła. Oba domy dzieliła odległość jednego metra. Ten jeden metr stanowił szerokość mrocznego wąwozu wabiącego dzieci bawiące się na podwórku jakąś domyślną tajemnicą W tym dziecinnym wąwozie nazywanym przez dorosłych po prostu prześcionkami czuło się wilgotny zapach mchów i stęchlizny, Ciasna przestrzeń między budynkami kusiła bywalców wyszynku do załatwiania tam potrzeb fizjologicznych. Nie musieli się trudzić chodzeniem do skrytych w głębi podwórek wychodków. Do paskudzenia w przedścionkach zachęcał panujący tam półmrok nawet podczas słonecznego dnia, bo okapy dachów niemal zakrywały niebo. Brak jakiegokolwiek zapory zagrządzającej drogę dopełniał reszty, Zanieczyszczenie było istotną przeszkodą w eksploracji wąwozu przez dzieci bawiące się na podwórku nie tylko ze względu na wydobywający się stamtąd fetor. Ryzykowne było także przechodzenie tamtędy na ulicę z powodu możliwości wdepnięcia na śmierdzącą minę. Na szczęście zdarzały się nie tak rzadko potężne ulewy a wtedy spadająca z dachów woda czyściła to miejsce z siłą wodospadu.

Knajpa Woszczyka była mordownią, co się zowie. Nie znaczyło to wcale, że kogoś tam mordowano. Po prostu tak nazywano wszystkie lokale z wyszynkiem o nienajlepszej reputacji. Stała tam długa lada a za nią właściciel, mając za plecami regał na trunki a na ladzie przeszkloną gablotkę na zakąski. Za szkłem

nabierały wzajemnie zapachów wędliny, wyroby masarskie śledzie. Krajalnica i niewielka waga stały na regale leżały na regale, obok leżał chleb. Całości wyposażenia dopełniały trzy stoliki z krzesłami, przy których mężczyźni pili wódkę. Mieli do wyboru wódkę czystą z czerwoną albo niebieską kartką, Niebieska była nieco droższa i schodziła tylko wtedy, kiedy zabrakło czerwonej. W rogu z lewej strony lady stały skrzynki z oranżadą i lemoniadą i piwem, Piwo marnie schodziło a wina wcale nie serwowano, bo jego picie przez mężczyzn uchodziło za niehonorowe. Ten swoisty bar, relikwyt wolnego handlu w gwałtownie nacjonalizowanej gospodarce funkcjonował pod zawołaniem U Siby. Nazwa, choć nigdzie nienapisana znana była w całej okolicy a zrodził ją zabawny incydent. Podchmielony klient wychodząc gwałtownie trzasnął oszklonymi drzwiami. Właściciel zaniepokojony o całość szyb wyskoczył za nim i mocno go zrugął. Mówił szybka zmiękczając niektóre głoski. Stan podwyższonej nerwowości spotęgował tę wadę wymowy, normalnie niezwracającej uwagi słuchającego. Tym razem szyba zabrzmiała jak siba. Zrugany pijak ruszył przed siebie mrużąc pod nosem. Przedrzeźniając właściciela powtarzał do znudzenia; siba, siba, siba. Następnego dnia zięć Olczyka, która towarzyszyła mu jeszcze długie lata po likwidacji knajpy. Przed południem lokal zaledwie wegetował. Zdarzało się nawet dzieciom chodzić tam po oranżadę, Wieczorami natomiast kwitło tu dość szemrane życie towarzyskie; Już z odległości dwustu metrów słychać było charakterystyczny szmer gospody; narastający w miarę zbliżania a po otwarciu drzwi w buchający niesamowity harmider. Latem, kiedy okna i drzwi były otwarte a wieczór rozkosznie ciepły i cichy życie gospody wpisywało się w życie całej wsi. Pijackie wrzaski uciszały się tylko wtedy, kiedy rozlegał się zbiorowy śpiew.

- Mieszkałem sobie na facjacie, ciuralla, ciuralla, la.

Zamiast firanek wieszałem gacie, ciuralla, ciuralla, la - zawodził

I skrzeczał chórek podpitych wokalistów

- Wszystkie rybki śpią w jeziorze, ciuralla, ciuralla, la.

Moja stara spać nie może, ciuralla, ciuralla, la – ciągnęła druga zmiana.

- Za szafę miałem beczkę od śledzi, ciuralla, ciuralla, la.

I rznąłem grafa, wiedzą sąsiedzi, ciuralla, ciuralla, la – zawodziła pierwsza.

- Aniele mój złoty tańcz walca z ochoty, tańcz walca tak mile.

- Zabawiaj się chwilę.

Z upływem czasu i w miarę wypitego alkoholu tekst piosenki ulegał niejakiej modyfikacji.

- Wszystkie rybki mają pipki. Ciuralla, ciuralla, la.

A karasie po kutasie, ciuralla' ciuralla, la

Impreza kończyła się zazwyczaj równo z zamknięciem lokalu, chyba, że wcześniej pojawił się jakiś funkcjonariusz ludowej władzy, czyli blacharz jak nazywano wtedy gliniarzy z powodu niezliczonej ilości metalowych odznak przypinanych do sino-niebieskiej, mundurowej marynarki. Nie musiał nawet napominać zakłócających ciszę nocną, bo na sam widok władzy ludowej trzęsły się ludowi portki ze strachu.

Zachodni filar drogi na świat zdołała studnia przed ogródkiem Wojciecha. Dochodziło tam do spontanicznych spotkań, rozmów i scenek rodzajowych. Stojąca tak blisko wiejskiej ulicy cieszyła się wielkim powodzeniem wśród mieszkańców pobliskich siedlisk, najbardziej tych, które nie posiadały własnego ujęcia wody. Wprawdzie naprzeciw u Wieczorków też była studnia, ale usytuowana w głębi podwórka nie przyciągała tylu amatorów czystej, zimnej wody. Przez wychodzące na ulicę okno naszego domu można było usłyszeć niejedyn dialog czerpiących wodę sąsiadek, które nie mogły odpuścić tak znakomitej okazji do wymiany aktualnych informacji ze wsi i o wsi a nawet z szerokiego świata. W tle tych rozmów skrzypiał kołowrót, dzwonił łańcuch a opuszczane w głąb studni wiadro zgrzytało czasem ocierając się o chropowaty beton cembrowin.

- Teresa! Teresa! Czy ty robisz tę wodę a może do studni wpadłaś? – krzyczał na córkę Błażniak.

Po śmierć by cię wysłać. Nie słyszysz jak było ryczy z pragnienia – udzielał

reprimendy dziewczynie z głębi podwórka.

Teresa aż podskoczyła ze strachu przed gniewem rozsierzonego nie na żarty ojca i przerywając rozmowę z przechodzącą obok studni koleżanką zarzuciła sobie na wątplę barki drewniane nosidła pobiegła z dwoma wiadrami pełnymi wody. Teresa jakoś tak szybko wydorosła i poszła za starszą siostrą w świat. Jej miejsce przy studni zajęła młodsza, Heńka a ona zmieniona w panią przyjeżdżała czasem w odwiedziny wystrojona, emanująca miejskim szykiem i obyczajem. Budziła we wsi konsternację wylegając się na kocu rozłożonym na trawie przy strumyku płynącym z dworskiego do wiejskiego stawu. Struga ta stanowiła naturalną granicę Magicznego Zakątka na północnej flance odcinając siedliska i ogrody od pól uprawnych. Obok zgrabnej dziewczyny w kąpielowym kostiumie leżał rozebrany do spodenek młody oficer, absolwent Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej w Gdyni. Wieść o tym niezwykłym zjawisku lotem błyskawicy obiegła wioskę. Ludziom trudno było uwierzyć, że w środku żniw można beczynnianie leżeć na trawie skoro nie od dziś wiadomo, że dobra pogoda w żniwa to dar Boży. Pan Bóg w swojej dobroci stwarza ludziom szansę darząc ich słoneczną aurą w czasie, kiedy na polach dojrzewają zboża, więc wylegiwanie się w tym czasie to grzech i ludzka niewdzięczność. Zdarzyło się wtedy, że Wojciech prowadził z pastwiska korowę na południowy udój, Jakież było jego zaskoczenie, kiedy na kocu obok Teresy zobaczył wnuka swojej siostry Ryśka.

- Dzień dobry wuju – odezwał się Rysiek na widok Wojciecha przechodzącego po kamieniach ułożonych w wodzie.

- Dzień dobry – jak echo powtórzyła za nim Teresa.

Krowy szły przez niewielkie rozlewisko mącąc wodę. Wojciech swoim zwyczajem o nic nie pytał letników. Odpowiedział na pozdrowienia i popędził krowy zbytnio zainteresowane koniczyną Błaźniaka. Tak miało się zdarzyć kilka lat później a teraz wystraszona Teresa biegła do obory z wiadrami pełnymi wody. Błaźniak mrucał coś jeszcze pod nosem o kłopotach wynikających z posiadania dzieci, ale nie mógł zbyt długo utyskiwać wiedząc, że dzieci to dopust Boży. Podwórko Błaźniaków stanowiło ważną część placu zabaw na zachodniej pierzeji Magicznego Zakątka. Dom dwuizbowy i obora blisko stały drogi, natomiast stodoła w głębi zagrody i dzieliło ją od obory kilkadziesiąt metrów. W tym przestrzennym układzie tkwił swoisty urok posesji Błaźniaków, którą chyba sam Pan Bóg przeznaczył dzieciom do zabawy. Codziennie gospodarz albo domownicy donosili zwierzętom to słomę, to siano na widłach lub w płachcie prósząc, co nieco z ładunku po drodze. Gubione z dnia na dzień źdźbła zaścieliły część podwórka uzdatniając je na bezpieczny plac do sportowych gier. Warstwa miękkiej ściółki skutecznie chroniła narażone na urazy podczas sportowej rywalizacji łokcie i kolana. Zamykająca od północy zagrodę stodoła była idealnym wprost miejscem dla bramkarskich popisów. Zarys wrót zastępował poprzeczkę i słupki bramki a od desek odbijała się gumowa piłka, która zastąpiła wcześniej używaną szmaciankę i nie trzeba ją było wyciągać z pokrzyw czyhających na gołe nogi bawiących się tu maluchów.

Kilka lat później Błaźniakowe podwórko było świadkiem ciekawych wydarzeń. Na usłanym słomą przedpolu stodoły grała w piłkę gromada wyrostków. Uderzana mocno piłka z hukiem odbijała się od drewnianych wrót. Na ogół wracała ja bumerang pod nogi strzelców, choć niekiedy lądowała jednak w tych nieszczęsnych pokrzywach Magiczny Zakątek wabił chłopców z sąsiednich podwórek i zaułków. W rozgrywanych tu meczach występowali: Mirek Gąsior, Michał Florczyk, Karol Lasota, Maniek Wieczorek, Włodek, Ogrodniczak, Maniek Stępień i wielu innych chłopaków z okupacyjnych roczników 1942-45. Nie było

stałych składów drużyn. Przed każdym meczem dwóch najbardziej biegłych w kopaniu piłki ogłaszano kapitanami. Oni ustalali skład drużyn metodą przemiennego doboru. Dobierali sobie zawodników kolejno i według uznania zaczynając od najlepszych, na najsłabszych kończąc. Bramka była tylko jedna a bramkarz pochodził z łapanki. Znaczyło to, że łapać na bramce nikt nie chciał ze strachu przed uderzeniem twardej piłki wielkości dużego jabłka. Szczególnie groźny był rykoszet, kiedy odbita piłka

waliła bramkarza w tył głowy. Ponadto chłopak broniący bramki narażał się na podejrzenie o stronnictwo, jeśli lepiej mu się udawało bronić strzały zawodników jednej a drużyny. Mógł spotkać się zarzutami o wypaczenie wyniku meczu a nawet groźbami ze strony przegranej drużyny. Kandydatów na bramkarzy wyznaczali kapitanowie z pośród chłopaków podpadniętych towarzysko. Podwórkowym rozgrywkom piłkarskim towarzyszyła celebra wzorowana na prawdziwych meczach miejscowej Spójni. Skompletowane już drużyny wybiegały gęsiego z przeciwległych narożników na środek boiska, gdzie ustawiały się naprzeciw siebie. – Na cześć gości i publiczności Spójnia cześć! – krzyczał najważniejszy gracz. Cześć! Cześć! Cześć! – darła się jak opętana cała pałaca się do gry gromada. Bywało, że mecz kończył się zanim się jeszcze zaczął. Niesamowity jazgot chłopięcych głosów mógł zaalarmować kogoś z rodziców domyślającego się początku jakiejś draki lub bijatyki, który odwoływał rozgrywki, zamykał boisko a nas zawieszał a prawach zawodników., pokazując na pasek od spodni. W obliczu tego gestu wszelkie protesty natychmiast ustawały. Z reguły jednak mecze się odbywały dostarczając nam cudownych przeżyć, mimo nabytych w ofiarnej walce zadrapań, siniaków i guzów na głowach. Pewnego dnia miejscowy klub sportowy zmienił nazwę Spójnia na Unię Wola Krzysztoporska, Wiązało się to reorganizacją krajowych struktur organizacyjnych finansujących kluby sportowe. Unia była jedną z federacji zrzeszających kluby obok Górnika, milicyjnej Gwardii i Wojskowych Kubów Sportowych. Na podwórzu Błaźniaków nowa nazwa jakoś nikogo nie zachwyciła. I wtedy ktoś wypowiedział słowo Wolanka. Nie wiadomo, kto to był i nie da się dokładnie określić, kiedy to się zdarzyło, ale właśnie od tej pory wybiegające na środek zadarnionego i po części zasłanego słomą boiska drużyny z Magicznego Zakątka rozpoczynały swoje mecze od okrzyku. Wolanka cześć! Wprawdzie żaden z grających tu chłopaków nie zrobił wielkiej kariery sportowej to jednak imienniczka tej podwórkowej Wolanka Wola Krzysztoporska weszła na sportowe salony zadziwiając klasa sportową kibiców wielu miast. Zasłane słomą podwórko Błaźniaków pełniło rolę uniwersalnego centrum sportowego Magicznego Zakątka. Mieścił się tu też plac manewrowy do nauki jazdy na rowerach, choć tak naprawdę nie był lubiany przez rowerzystów z powodu ciężkiej nawierzchni i dołów po kopcach ziemniaków utrudniających wykręcanie ósemek. Bardziej sprzyjały rowerzystom równe i twarde ścieżki wydeptane na poboczu szosy biegnącej przez wieś. Rower był wtedy najbardziej popularnym a w zasadzie jedynie dostępnym środkiem osobistego transportu i przedmiotem pożądania wszystkich dzieci. Gospodarka lat pięćdziesiątych nie produkowała jeszcze jednoślądów dzieciennego kalibru. Biednym dzieciom nie pozostawało, więc nic innego jak dosiadać stalowych rumaków skonstruowanych wyraźnie ponad ich miarę. Ale jak tego było dokonać mając nóżki pół metra za krótkie. Jednak zmyślne dzieciaki, jeśli tylko dorwały się do roweru używały do jak hulajnogi. Pędziły z prawą nogą opartą na pedale, używając lewej do napędzania pojazdu przez odpychanie się od ziemi. Też zaczynałem jak inne dzieci od prowadzenia ojcowskiego roweru. Potem była jazda na pedale, coraz szybciej i coraz dalej aż zdarzył się cud. Ni stąd, ni zowąd wsunąłem prawą nogę pod ramę i zakręciłem pedałami. Rower ruszył jak koń cugłami poderwany do biegu. Ogarnęła mnie jakaś nieznana dotąd euforia. Nie czułem bólu w łydce otartej o łańcuch i przekładnię. Jechałem rowerem! Jechałem twardą ścieżką w stronę domu, prowadzony zdziwionym spojrzeniem matki, pełnym dumy i troski. Mamusia i ja wiedzieliśmy w tej chwili, że opanowałem sztukę jazdy rowerem, choć był to zaledwie udany początek. Zdawałem sobie sprawę, że o wiele trudniej niż ruszyć jest zatrzymać rozpędzony pojazd. Za chwilę jednak oczy matki rozjaśniły się i zniknęła wypisana w nich obawa. Przestałem kręcić pedałami a rower zwolnił bieg. Udało mi się zabrać nogę spod ramy za nim się zatrzymał. Nie każdemu się to udawało za pierwszym razem. Starsza ode mnie Heńka z zazdrością patrzyła na wyczyny chłopaków szalejących po drodze i podwórkach aż przyszedł dla niej czas zręcznościowej inicjacji. Była już wtedy podlotkiem a może panienką, tyle, co skończyła siedmiolatkę we Woli. Nie miała odwagi startować na przydrożnej ścieżce wybrała, więc bezpieczniejsze podwórko. Ktoś przytrzymał jej rower do wsiadania. Może to był Maniek Wieczorek najsilniejszy chłopak w Magicznym Zakątku. Dziewczyna bez problemu do pedałów sięgała z siodełka.

Popchnięty przez nas rower ruszył po placu w kierunku stodoły a Heńka kręcąc pedałami popiskiwała z radości. Gromada zakątkowych dzieciaków z otwartymi ustami obserwowała widowisko. Rower nabierał prędkości zbliżając się do drewnianych wrót i czas był najwyższy, żeby zawrócić Lu zatrzymać rower. Tylko jak to zrobić? Żaden pomysł nie przychodził dziewczynie do głowy. – O Jezus! O Matko Boska. O Jezus! – zdążyła krzyknąć i zamknęła oczy. Przednie koło roweru odbiło się od stodoły. Wrota zaskrzypiały w zawiasach. Zagrzechotały wyschnięte w słońcu deski. Zajęczały szprychy w zniekształconych obręczach kół i cisza zaległa na placu manewrowym. Na nas, obserwatorów rowerowej katastrofy padł blady strach i poczucie winy za zachęcanie Heni do wejścia na rower, co zakończyło się brawurową szarżą na ojcowską stodołę. Rzuciliśmy się wszyscy pomagać ofierze wypadku a ona ku naszym zdumieniu podniosła się ze słomy cała i zdrowa.

Cielęta stały na uwięzi, ale do żłóbka nie były dopuszczane tylko pojone z wiadra. Świnie miały osobny chlew, żeby nie świniły po całej oborze. Podrośniętym prosiakom wbijano druty w ryje, w ten sposób zniechęcano je do podgryzania drewnianej zagrody i przekopywania obornika w chlewie. Tkwiący w ryju drut sprawiał im przy tych czynnościach dotkliwy ból. Osobniki niedotknięte tym rygorem mogły zdemolować chlew ze skutkiem tornado, bo posiadały w ryju wielką moc i miały wrodzoną skłonność do destrukcji. Cała ta świńska zgraja miała paskudny zwyczaj kwiczeć przeraźliwie tuż przed karmieniem. Ten okropny krzyk świntuchów budził wśród dzieci przerażenie tak wielkie, że mimo wrodzonej ciekawości do poznawania świata trzymały się z dala od chlewów ku zadowoleniu rodziców, bo bliższa znajomość z trzodą chlewną mogło być nie tylko nieprzyjemne, ale wręcz niebezpieczne. W każdym razie świński krzyk rozlegający się od czasu do czasu tu i ówdzie był nieodłącznym elementem w kalejdoskopie zdarzeń składających się na swoisty koloryt tego zakątka. Nie było też bezpiecznie zbliżać się do koni, choć zwierzęta te nie miały wobec ludzi złych zamiarów. Nie było jednak stuprocentowej pewności, co do ich intencji, bo Pan Bóg stworzył zwierzęta na obraz i podobieństwo człowieka obdarzając całą populację wielką różnorodnością charakterów i osobowości. Z tego powodu kupując konia można było trafić, na hymeryka; czyli takiego, co miał humory na ogół złe. Niewielu ludziom zdarzyło się kopać z koniem, ale co to kopnięcie konia każdy wie. Konie złośliwe wobec świata i ludzi słuchały tylko gospodarza a intruzów odstraszały wierzganiem. Potrafiły też dotkliwie pogryźć. Zdarzało się, że hymeryk chwycił nieostrożnego dzieciaka zębami za ubranie i odrzucił w kąt stajni. Pod końskimi żłobami gnieździły się króliki. Kury miały grzędy wysoko pod sufitem w porzekadła: Daj kurze grzędę a ona mówi jeszcze wyżej siędę. Gęsi i kaczki zamykano w odrębnym chlewiku, żeby nie ich nie zdeptały zwierzęta kopytne lub świnie nie rozerwały na strzępy. Komplet lokatorów dopełniały owce wpędzane na zasadzie, jakoś się tam zmieszczą. Latem w gniazdach ulepionych z błota przy belkach stropowych popiskiwały jaskółeczki rozdziawiając nieproporcjonalnie duże gardła w oczekiwaniu na kolejne porcje much. Tych było tysiące mimo wielkiej żarłoczności skrzydlatych łowców. Jaskółki starym zwyczajem szanowano do tego stopnia, że nie tylko nie wolno ich było zabijać, ale nawet niszczenie gniazd uważane było za wielki grzech. Od wiosny do późnej jesieni cała ta menażeria przebywała podczas dnia na świeżym powietrzu z wyjątkiem świń, które ze względu na brak dobrego wychowania i naganne maniere nie były godne odbywania orzeźwiających letnich spacerów, Owszem słyszało się, że bywają okolice, gdzie świnie chodzą luzem po dworze a nawet wybierają się czasem za stodołę, gdzie zjadają ludzkie odchody. Stąd chyba wywodzi się bardzo obraźliwe przezwisko. –Ty świnio gówienna! Uchodzące powszechnie za ostatnie słowo do bicia. W naszym Zakątku taka ohyda nie mogła mieć miejsca, bo mieszkańcy mieli do dyspozycji drewniane wychodki z umieszczonymi nad charakterystycznymi otworami w kształcie rombu. Obory, choć dość głębokie szybko wypełniały się obornikiem powstającym ze słomy przemieszanej z odchodami zwierząt. Wobec szczupłości pomieszczeń inwentarskich trzeba było obornik dość często wyrzucać widłami poza oborę. Pieszczotliwie nazywano tę ciężką pracę zrywaniem podłogi. Obornik nie wydzieliał zbyt mocnych woni dopóki leżał sobie nienaruszony. Zrywany warstwa po warstwie zakrzywionymi widłami zwanymi swojsko kopocem śmierdział okropnie. W dzień bezwietrzny

słodko-smrodliwy fetor snuł się po całej wsi.

Zanim ojciec przybudował do obory stajenkę Kary rezydował wraz z bydłem w oborze. Koń w oborze był jednak tylko gościem a właściwie była to jego noclegownia. Co świt dziadek zaprzęgał konia do wozu spiesząc wykonać jakąś ważną polową robotę a wracał do zagrody przed nastaniem skwarne go południa? To potężne w oczach dziecka zwierzę poddawało się całkowicie woli dziadka Wojciecha i było w jego obecności łagodne niczym baranek. Nic, więc dziwnego, że tak fascynowały mnie wzajemne relacje między człowiekiem a tym zwierzęciem. Niewątpliwie, że tkwiły w nich jakieś tajemne więzi coś więcej niż tylko zwykła współzależność przyuczonego do ciężkiej harówki zwierzęcia z właścicielem wiejskiej zagrody. Wchodzącego do stajni gospodarza koń witał cichym rżeniem jakby chciał mu wyrazić swoją wdzięczność za dbałość, troskę i dach nad głową. Wydarzeniem dnia był dla mnie powrót dziadka z zaprzęgiem do zagrody. Biegłem mu, naprzeciw co sił w nogach ku utrapieniu mamy i babci z powodu jakiegoś wyimaginowanego nieszczęścia, które mogłoby mnie spotkać, gdy biegłem z okrzykiem: dziadziuś, dziadziuś a on uśmiechał się pod wąsem na widok jedyne go wtedy wnuka. Zatrzymywał wóz i podnosił mnie z ziemi na siedzenie obok siebie. Pozwalał mi potrzymać lejce, żeby wspólnie poprowadzić zaprzęg jeszcze kilkanaście metrów, pod sama oborę. Po czym ku mojej, niepohamowanej radości sadzał na końskim grzbiecie i nakazując trzymać się mocno zwieńczenia chomała prowadził kilka chwil Karego po podwórku. Tego rodzaju scenka zawsze budziła zazdrość ze strony moich rówieśników, których rodzice nie utrzymywali w swoich niewielkich gospodarstwach siły pociągowej.

Z dnia na dzień świat odkrywał przede mną swoje uroki powiększając dostępne pole przestrzeni. Pozwolił wygrzebać się z białej, składanej w połowie, niemowlęcej poduszki, zawiązywanej z boku tasiami, żebym zbyt wcześnie ni wypadł. Potem przy pomocy prób i błędów pozwolił stanąć na nogach. Nawiazywanie kontaktów ze światem rzeczy stało się źródłem doświadczeń pozwalających mi odróżnić dobro od zła. Dobro jawiło mi się, jako równoznaczne z doznawaniem przyjemności, zło niosło ze sobą ból, Wtedy były to dla mnie pojęcia równoznaczne. Nie spostrzegłem jeszcze, że coś dobrego dla jednego człowieka może być dla drugiego ewidentnym złem. Jednym z efektów zderzenia się ze światem było zdziwienie. Niestety pierwsze zadziwienia nie zachowały mi się w pamięci. Może ze względu na szmat czasu skutecznie zacierający ślady pierwszych doznań a może z powodu delikatności i nietrwałości owej materii przeznaczonej do przechowywania zapisów wydarzeń, będącej w pierwszej fazie przekształceń. Dlatego muszę podeprzeć się pamięcią moich rodziców opowiadających wiele razy jak wielki zdziwienie wpisywało się w moją twarz, kiedy ojciec za pośrednictwem mojej rączki naciskał pstryczek, elektryczek a światełko na przemian to gasło to się zapalało. Po krótkim kursie sam potrafiłem pstryczkiem operować. – Tetełko! Tetełko – krzyczałem domagając się podniesienia do wysokości wyłącznika. Tetełko zrobiło na mnie tak wielkie wrażenie, że przez jakiś czas prawie wszystkie znane mi wyrazy zaczynałem wymawiać od głoski „te” a wymawiany przeze mnie ciąg wyrazów brzmiał: Tetełko, tatełko, tedłoga, czyli światełko, krzeselko, podłoga. Podobne zdziwienie jak efekt pstryczka budziło we mnie wiele innych rzeczy. Jeśli więc rację miał Platon mówiąc, że zdziwienie jest początkiem filozofowania to wcale wcześnie zacząłem filozofować, choć tak naprawdę moja idee fixe zaświtała mi w głowie dopiero jak opanowałem sztukę pisania i czytania. Ta natrętna myśl, która się wtedy zrodziła zaprzętała moją psychikę przez całe dalsze życie.

Za stodołą Błaźniaka rozciągała się północna rubież Magicznego Zakątka. O rzut kamieniem dalej w, wśród zagonów kartofli tkwił jak graniczny bastion domek Szewca. Dalej na północ ścielił się bezmiar pól uprawnych, przecięty tylko owym strumykiem łączącym dwa wolskie stawy. Zachodnim bastionem był dom Władysława i Leokadii Gąsiorów ukryty za dwoma rzędami owocowych drzewek. Oba siedliska łączyła ścieżynka wydeptana wśród zbóż i ziemniaków służąca obu rodzinom do wzajemnych odwiedzin a mnie zakreślająca granice eksploracji. Inna ścieżka biegła dalej na wschód między domami Ogrodniczaków i Paczesiów aż do piekarni Jana Amrozika, czyli do centrum Zaułku Banaszczyków. Tam na dwóch hektarach mieszkało kilkanaście rodzin w tym: Pisarkowie, Włoszkwowie, Gajdowie i

Krasoniowie. Zaulek przylegał do skrzyżowania dróg prowadzących na wschód do Piotrkowa i na północ do Krężnej. Kolorytu tego miejsca dopełniał dworski staw i duży, stary ogród ukryty za wysokim drewnianym płotem, te urokliwe miejsca były wtedy jeszcze poza zasięgiem moich wędrówek. Wyłomu w północnej granicy dokonał ojciec wkrótce po tym jak udało mu się przekonać dziadka Wojciecha, że sad owocowy przyniesie większe korzyści niż łan pszenicy. Wtedy właśnie późną jesienią pojawiła się w okolicy domu wuja Władysława przyzma drewnianych okrągłaków przyciętych równo na długości dwóch metrów. Na zaoranym na zimę polu wynajęci ludzie sadzili drzewka w czterech równych rzędach od domu po przecinającą pola strugę. Tuż za domem wujostwa kończyła się scheda wykrojona dla Gąsiorów przez darczyńcę Józefa Motykę. Dalej działka całą szerokością należała do dziadka Wojciecha. Drzewka sadzone w ziemi mokrej i tłustej sięgały korzeniami do gliniastego podłoża. Na wiosnę wraz z pierwszymi liśćmi miały tu zacząć nowe życie a po kilku latach okryć się kwieciami i wydać owoce na pokusę dla okolicznych mieszkańców. Na razie stały się pokusą dla licznych zajęcy, które późną jesienią zaczynały już zwiedzać przyszłe uprawy jakby chciały dokonać wczesnego rozpoznania rezerwy żywnościowej na wypadek zbyt obfitych opadów śniegu odcinającego im dostęp do naturalnej karmy. Jeśliby tak się stało to młody sad wystawiony zimą na nieograniczoną penetrację tych zabawnych zwierzaków skazany był na zagładę jeszcze przed wiosennym rozbudzeniem. Podczas zim szczególnie srogich nawet grube osłony słomiane nie były skuteczne, bo głodne zwierzaki z łatwością je niszczyły przed posiłkiem z młodej, smacznej kory. Najlepszym zabezpieczeniem młodego sadu przed zajęczą inwazją było ogrodzenie plantacji szczelnym płotem z drucianej siatki chroniącym dodatkowo przed wizytami amatorów zakazanych owoców.

Kilku malców ubranych w ciepłe bluzy, wełniane czapki i szaliki krążyło od ogniska do ogniska po wilgotnej ziemi ubitej gumiakami pracujących tu mężczyzn. W ogniu ulegała zwęgleniu powierzchnia drewnianych słupów ogrodzeniowych w tej części, która miała być wkopana w ziemię. Przypalanie okrągłaków miało je chronić przed przedwczesnym gniciem. Był to stary, z dawien dawna znany i skuteczny sposób na przedłużenie trwałości płotu. W ciężkim jesiennym powietrzu dym snuł się tuż nad ziemią i zasadzał w głębi pola odgradzając Magiczny Zakątek od reszty świata. Mdły zapach zaoranej ziemi mieszał się z ostrą wonią spalenizny. Robotnicy zastanawiali się, jakie korzyści może przynieść posiadanie dużego sadu. Nikt w Woli nie sadił dotąd tyle drzewek poza dworskim ogrodem. Żartowali, śmiejąc się z bogactwa, jakie spłynie z tego sadu na rodzinę Dajczów. My, malcy z wielką ciekawością wsłuchiwalismy się w te rozmowy, co nie przeszkadzało nam jednocześnie grzebać długimi patykami w otwartym ogniu. Niesłychana to była dla nas atrakcja, jako, że dzieci z samej natury mają często skłonności pirotechniczne i lubią grzebać w ogniu, nieświadome skutków takiej zabawy. W tej właśnie chwili całą, naszą, młodocianą brygadę wyrwał z błogiego zamyślenia głos jednego z robotników. – Chłopaki odejdźcie od ognia, bo się posikacie w nocy. Wprawdzie podejrzenie o nocne sikanie do łóżka było mocno obraźliwe dla kilkuletnich kawalerów, niemniej jednak straszenie nocnym niedotrzymaniem moczu zawsze miało skutek natychmiastowy. Tym razem też tak było, choć reprimenda wzbudziła we mnie jakiś sprzeciw i chęć do odegrania się. Odszedłem posłusznie od ogniska, ale natychmiast dla ratowania nadszarpniętego prestiżu wygłosiłem chełpliwe oświadczenie: - Włodziu będzie ogrodnikiem! Włodziu będzie pan! Była to druga deklaracja na temat przyszłej mojej profesji. Wcześniej wszystko wskazywało, że zostanę księdzem.

Działo się to w samym centrum Magicznego Zakątka, w miejscu gdzie brygada małolatów uzbrojonych w blaszane wiadereczka i malutkie szpadelki rozkopywała dzielnie przyzma piasku przeznaczonego do wyrabiania zaprawy murarskiej. Żółciutki, sypki piasek ciągnął ja magnes. Nic w tym dziwnego, bo grzebanie w piasku jest wśród dzieci tak samo popularne jak lizanie lodów lub picie czerwonej oranżady. Obok przyzmy mieściła się początkowa i końcowa stacja szlaku konnych dyliżansów. Ilość koni w zaprzęgu uzależniona była od frekwencji podczas zabawy. Na ogół w zaprzęgu były cztery konie i woźnica trzymający lejce i bat w rękach. Konie były misternie powiązane sznurkami w dwie pary. Z

ustaleniem obsady zawsze były poważne trudności, bowiem każdy z uczestników tego spektaklu aspirował do roli woźnicy, czyli władcy zaprzęgu. W obliczu groźby dekonstrukcji dyliżansu z powodu nadmiaru liderów i ich wygórowanych aspiracji został wypracowany kompromisowy system rotacyjny. Za ogólną zgodą uhonorowany już pełnił władzy woźnica zajmował miejsca jednego z koni a ten przejmował lejce i dowodzenie. Trudno uwierzyć, że mogło tak być podczas najbardziej represyjnego totalitaryzmu, kiedy dobrowolne oddanie władzy nie wchodziło w rachubę a za głoszenie takich poglądów niechybnie groziło więzienie. Szczęśliwym trafem Magiczny Zakątek znajdował się poza strefą działania Urzędu Bezpieczeństwa. Wprawdzie wśród młodocianych prekursorów demokracji znajdowali się przyszli oficerowie służb specjalnych, ale oni sami jeszcze o tym nie wiedzieli. W dalsze przyszłości przypadło im łamać zasady, które we wczesnym dzieciństwie sami wypracowali. W naszym zaprzęgu panowała harmonia a ludzkie gesty furmana wobec koni wcale nie należały do rzadkości. Całkiem normalne było, więc zachowanie Mirka, który będąc akurat władcą koni powstrzymywali ich bieg słowami: - Wolno, wolno, bo Włodziu jest kulawy.

Czas mijał a fascynacja zaprzęgami znacznie już osłabła, kiedy z niewiadomych przyczyn zakończyły żywot dwa moje ulubione króliczki, które dotąd pędziły beztroskie życie pod końskim żłobem. Nieutulony w żalu postanowiłem wyprawić im godny pogrzeb. Przebieg ceremonii był zbliżony w formie do tej, która wbiła mi się w pamięć w wolskim kościele, gdzie wraz z babcią brałem udział w pożegnaniu kogoś z dalszej rodziny, Straż był w dziesiątkę i moim kompanom od razu przypadł do gustu. Nie było, więc powodu, żeby zwlekać z inscenizacją. A cmentarz posłużyła nasza sławna piaskownica. Rekwizyty zostały starannie dobrane. Z kawałków zbędnej odzieży powstały: komża, stuła i czarna, żałobna chorągiew. Krzyż był z patyków zbitych jednym gwoździem. Role zostały rozdane. Przodem szedł Mirek z krzyżem, za nim Michał z chorągwią poprzedzał mnie, księdza. Za mną pozostali celebryści nieśli tekturowe pudełko z nieszczęsnym nieboszczykiem. Mszę odprawiałem nad otwartym grobem. Było to Requiem jak się patrzy. Pamiętałem jak ksiądz śpiewał w kościele, ale nie umiałem powtórzyć za nim *requiescat in pace*. Nie wiedziałem też, że można powiedzieć całkiem swojsko: Niech odpoczywa w pokoju. Od czego jednak głowa. Pogłótkowałem i wcale o tym nie wiedząc dokonałem pierwszego w historii przekładu z łaciny na gwarę łęczycko-sieradzka. – Rekwije, rekwije, już królik nie żyje – zaśpiewałem starając się wydobyć z siebie głos o jak najniższym grzmieniu dla dodania ceremonii powagi i dostojeństwa. Dopóty ceremonie trwały dopóki nieboszczyków nie zabrakło. Wtedy ktoś wpadł na szatański pomysł, żeby ekshumować pochowanych i wszystko zacząć od początku. W tym miejscu miara się przebrała, bo dalsza zabawa zaczynała zagrażać zdrowiu żałobników. Potrzebna, więc była zdecydowana akcja sił porządkowych. Zaalarmowana przez obserwatorów zakątkowego życia moja mama rozpedziła kolejny orszak pogrzebowy przy pomocy różgi a nieszczęsne króliczki dziadek zakopał głęboko w nieznanym nam miejscu. Tak zakończyła działalność młodociana grupa sakralno-grzebalna i choć to był tylko krotki epizod poszła fama po wsi, że Dajczowie szykują syna na księdza. Po latach zrozumiałem, że była w tym ręka Opatrzności kierująca mnie w stronę kapłańskiej korporacji gdzie czekało na pewno życie beztroskie i dostatnie a może nawet luksus i zbytek w biskupim pałacu. Mój szczerzy i głęboki żal po ulubionych króliczkach nie trwał jednak długo pojawił się, bowiem nowy obiekt fascynacji, sowa. Ten piękny o nietypowej sylwetce ptak siedział nieruchomo na patyku zamocowanym powyżej kuchennego kredensu. Pod nim stało płaskie pudełko wypełnione trocinami, na które spadały ptasie odchody. Ta pierzasta w szaro-brązowym kolorze kulka niestety nie zwracała uwagi na podkładane jej pod dziobek mięsne smakołyki. Nie piła nawet wody. Wyrwaną brutalnie spod opieki rodziców paraliżował strach przed ludźmi podsycany instynktem samozachowawczym. Od strachu silniejszy był jednak głód. Trzeciego dnia ku radości całej rodziny ptak bojaźliwie sięgnął po pierwszy kęs mięsa podany mu przez człowieka, Odtąd sowa żyła w przyjaźni z domownikami. Latając w nocy za żerem budziła nas ze snu, aż nadszedł dzień próby. Latem nie sposób było mieszkać za zamkniętymi oknami. Ptak otrzymał drogę do wolności, skorzystał z okazji i zniknął w nocnych ciemnościach. Ze łzami

w oczach poszedłem spać, ale rano, kiedy się obudziłem i spojrzałem odruchowo w stronę kredensu zobaczyłem siedzącego tam ptaka. Sowa siedziała sobie na patyku i wypoczywała po nocnym rekonesansie. Od tego dnia wylatywała każdego wieczoru na nocne łowy i wracała każdego ranka. Wawrzynkowski tęgim był pedagogiem, więc uszczuplenie czasu na naukę matematyki nie miało żadnego wpływu na wyniki nauczania a jeśli chodzi o łązenie po drzewach to było ono zawsze niesłychaną frajdą, szczególnie dla największych szkolnych urwisów, dla których siedzenie w ławce wiązało się z okropną wprost dolegliwością. Po samo uśpieniu robaków nieszczęsne drzewka morwowe wyglądały jak oskubane przez tornado z żalosną resztką liści mających im zapewnić ciągłość wegetacji. Urok początkującego lata nie pozwolił się jednak smucić. Po drugiej stronie ulicy obsypało się kwieciami potężne drzewo akacji pamiętające na pewno czasy Krzyszporskich. Kwitną akacje, blisko wakacje – krzyczeliśmy zjadając delikatne w smaku białe płatki ku zgorszeniu przechodniów. Świat pachniał sianem od skoszonych łąk a wieczorami w stawach jak ogłupiałe darły się żaby.

Na scenie świata

Jak dobrze wstać skoro świt, jutrzeńki blask duszkiem pić – pisał natchniony Jonasz Kofta oczarowany magią niezwykłego poranka. Z tworzywa tej magii powstał tekst świetnej piosenki gorąco oklaskiwanej w latach siedemdziesiątych przez publiczność opolskiego amfiteatru. Natchnienie poetki zrodziło się w tej sferze doznań, która po wielokroć fascynowała Wojciecha. Zmęczony wysiłkiem fizycznym, często ponad miarę zasypiał wieczorem jak kamień, ale tuż przed świtem budził go nieodmiennie jakiś instynkt. Leżał wtedy przez chwilę w mroku wypełniającym izbę zbierając siły do odrzucenia zniewalających macek nocy powstrzymujących go od wejścia na scenę i widownię największego teatru świata, gdzie nieprzerwanie toczyła się akcja spektaklu. Zanim otworzył drzwi słyszał już dźwięki uwertury. W ten sposób witały go ptaki ukryte w szarości przedświt. Nie sposób było dostrzec ani ustalić skąd pochodzą te przedziwne akordy, świsty ostre jak szydło, przeciągłe, leciutkie gwizdy i delikatne zawodzenia. Wojciech zapewne nie kojarzył tych ptasich popisów z operową sceną, ale to w niczym nie przeszkadzało, żeby ta niezwykła improwizacja mogła mu sprawić wielką przyjemność i przyciągnąć zastępy dobrych myśli. Na powitanie nadchodzącego gospodarza zarżał w stajni cichutko gniady koń. Słyszając konia Wojciech otrząsnął się z resztek snu, otworzył obite siatką letnie drzwi do stajni i poklepał pieszczotliwie konia po szyi, po czym wsypał mu do żłobu przygotowaną wczoraj porcję obroku. Podczas futrowania obroku gospodarz zrobił mu kilka zabiegów kosmetycznych. Zgrzebłem wyczyścił lśniąca sierść i rozczesał włosie grzywy i ogona. Koń poddawał się woli opiekuna parsając wesoło i przydeptując nogami. Zanim w żłobie ukazało się dno gospodarz zdążył przygotować wóz do drogi. Na wozie stał żłobek z zapasową porcją końskiego wikt, leżało radło i lekkie brony. Na żłóbku leżał wypchany słomą worek służący gospodarzowi do siedzenia podczas jazdy. Następną czynnością było nałożenie koniowi chomąta i pozostałej uprzęży przed doprowadzeniem do dyszla i założeniem naszelnika i postronków na orczyk. Po dokonaniu tych niezbędnych czynności Wojciech chwycił lejce i wsiadł na wóz a wypoczęty koń ruszył w drogę nie czekając na komendę gospodarza. Za bramą zaprzęg skręcił w prawo. Z tyłu goniła go różowa poświata zwiastująca wschodzące słońce. Z mijanych po drodze zagród dochodziły pierwsze odgłosy porannej krzątania. Słychać było brzęk studziennych łańcuchów i stukanie wiader o studzienne cembrowiny. Widać inni gospodarze też nie zasypiali gruszek w popiele. Przejeżdżając obok kościoła Wojciech zgodnie ze zwyczajem zdjął czapkę z głowy. Wóz posuwał się cicho prawą, nieutwardzoną stroną wiejskiej ulicy. Środkiem wiodła wąska szosa z tłuczonego kamienia omijana przez wiejskie zaprzęgi z powodu wybojów i nierówności. Zwarta zabudowa ulicy Wesołej kończyła się równo z domem Kulików. Dalej w kierunku Kacprowa stały już tylko trzy samotne domy. Od skrzyżowania przy samotnej stodole Wieczorków wytyczono prosto jak strzelił w kierunku Wolskiego Lasu szeroki trakt. Na tej porośniętej darnią drodze okute żelazem koła chłopskich wozów wyrzeźbiły kilka par kolein. Zaprzęg prowadzony przez Wojciecha wjechał w jedną z nich i rażno posuwał się między łąkami zbóż a potem łąkami Małego i Dużego Kozuba aż do rozlewiska

niewielkiej rzeczki płynącej przez łąki w stronę Luciaży. Purpurowe słońce wychodziło z pszenicy na Komornickim i kołysało w wodzie rozbełtanej końskimi kopytami. Wiszący w powietrzu skowronek głosił pochwałę nastającego dnia. Wojciech czuł, że stoi w samym środku swojego teatru, w centrum gigantycznej scenografii, jako widz i jednocześnie jeden z uczestników fantastycznego widowiska wzbogaconego jeszcze ferią zniewalających zapachów letniego poranka. Jak sięgnąć wzrokiem otaczała go magiczna przestrzeń zaprogramowana i stworzona przez nieznanego kreatora. Koń opuścił łeb i cedził przez zęby chłodną wodę a gospodarz patrzył na zamykający horyzont las, bliski już ciemnozielony, zwarty masyw wysuwający w pola postrzępione jęczory zagajników. Czas przejazdu z domu na pole należał do tych nielicznych chwil, kiedy Wojciech mógł sobie pozwolić na rozmyślenia o niepraktycznej stronie życia. Już w dzieciństwie wpajano mu, bowiem, że grzechem jest marnować czas na próżne wiły, czyli zainteresowania i czynności zbędna z punktu widzenia człowieka kierującego się surową nauką Kościoła. Z katechezy zapamiętał, że poza modlitwą i pracą nie ma nic szczególnie ważnego w życiu a zapuszczając się zbyt daleko od drogi wytyczonej przez Kościół można łatwo wpaść w sidła szatana. Modlitwa miała być przeznaczona Bogu a praca rodzinie. Pan Bóg był dla niego najwyższą siłą sprawczą. Wierzył be cienia wątpliwości. Że bez woli Bożej włos człowiekowi z głowy nie spadnie a to, że nie wszystkie wyroki Boskie dadzą się racjonalnie wytłumaczyć wynikało z ułomności rozumu ludzkiego wobec niemożliwej przez człowieka do ogarnięcia i zbadania wielkości i mądrości Stwórcy. Modlił się regularnie klękając wieczorem przed snem i rankiem po przebudzeniu. Głośno odmawiał pacierz łącznie z wyznaniem wiary. Do kościoła zbyt często nie chodził pozostawiając żonie uczestnictwo w mszach i innych nabożeństwach. W niedole brał na siebie wszystkie obowiązki wobec zwierząt inwentarskich. żeby reszta rodziny mogła się modlić w kościele i świętować. Za to w święta Wojciech stroił się w czarny garnitur uszyty na miarę z dobrego sukna uzupełniony krawatem i kamizelką i czarne lśniące pantofle. Zimą wyciągał szafy odświętną czapkę i palto pachnące zieleń zwanym bagno, wykładanym w szafie przeciw atakującym wełniane tkaniny molom. Tak wystrojony szedł Wojciech na pasterkę lub na rezurekcję i do wielkanocnej spowiedzi. W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Podobnie ja inni gospodarze uczestniczył w mszy świętej odprawianej w intencji ukamienowanego, świętego Szczepana. Szedł tego dnia do kościoła z owsem w kieszeni a wracał z owsem za kołnierzem i we włosach.

Rozmyślenia przerwał mu koń, który napiwszy się do woli szarpnął wozem aż woda zachlupotała w drewnianych szprychach kół. Zaprzęg skierował się ku rozstajom polnych dróg, gdzie koń zwolnił czekając na sygnał od gospodarza. – Hetta – zawołał Wojciech a koń posłusznie skręcił w prawo i pociągnął wóz skrajem lasu do uroczyska zwanego Rusiec. Tam obok porośniętego rzadkimi krzakami i jeżynami nieużytku Wojciech posiadał morgę niezbyt urodzajnej ziemi tak zwanej siwki rodzącej na przemian żyto, ziemniaki, seradellę i łubin. Na połowie tej morgi zielenił się łąn ziemniaków odmiany Flora. Czas był ku temu, żeby wykonać ostatnie obsypywanie redlin przed okryciem całej powierzchni pola przez rozrastające się bujnie łąty ziemniaczane. Wyprzęgnięty z wozu koń skubał trawę na drodze. Wojciech zaczepił radło do orczyka i szykował się do skierowania konia w pierwszą na skraju pola redlinę, kiedy kątem oka zauważył nadchodzącego człowieka niskiego wzrostu z płachtą na plecach i sierpem w ręku. Nie zdziwił się, bo znał go od dawna.

Przez uroczysko Rusiec biegła granica obręby geodezyjnego oddzielająca grunty Woli i Krężnej. Tuż za tą granicą na niewielkim, piaszczystym pagórku widać było dziwaczne zabudowanie. Nie była to wprawdzie chatka Baby Jagi na kurzej stopce, ale domek wyglądał na z bajki wzięty. Była to niewielka izba o ścianach ulepionych z gliny zbrojonych pędami jałowca. Strop miała drewniany, nisko zawieszony a dach dość stromy, strzechą słomiana pokryty, ponad którą wystął komin ulepiony z gliny. Chatka miała niewielkie. Bajkowo wyglądające, oszklone okienko i drzwi zbite z jakiś starych desek z przemyślnie wykonanym drewnianym zamykaniem. We wnętrzu pobielonym wapnem najwięcej miejsca zajmował piec a jakże też z gliny z komorą do pieczenia chleba i obszernym paleniskiem przystosowanym do

spalania chrustu zebranego w pobliskim lesie. Całość zwieńczona była pod sufitem obszernym okapem wyłapującym dym i parę podczas gotowania strawy. Całości wyposażenia dopełniał stół, ława i łóżko pierzyną zaścielone a wszystko ustawione na glinianej polepie zastępującej podłogę. Z nowoczesnej techniki izba była zaopatrzona w wynalazek Łukaszewicza, czyli lampę naftową zawieszoną na wbitym w ścianę gwoździu. Domek miał niewielką przybudówkę wykonaną z tego samego, co chata budulca i tą samą techniką. Mieścił się tam chlewik dla kozy. Latem zwierzę przebywało w nim tylko w nocy za dnia pasąc się na okolicznych nieużytkach. Podczas srogich zim chlewik łącznie tak jak cała chata ogacony był ściółką leśną. Dla wygody ludzi i zwierzęcia w ścianie oddzielającej oba pomieszczenia było okienko, przez które koza wsuwała głowę do izby i tam była karmiona bez potrzeby wychodzenia na jesienną słotę lub zimową zawieję. Koza dostarczała swoim opiekunom smacznego mleka niemal przez cały rok. Kozłeta szły na sprzedaż. Był z tego jedyny znaczący dochód obok pieniędzy ze sprzedaży mioteł wyrabianych z pozyskanych w lesie gałązek brzoźowych. Zarobione w ten sposób pieniądze mieszkańcy bajkowego domku przeznaczali na ziemniaki, naftę, mąkę i sól. Z koziego mleka gospodyni wytwarzała śmietanę, masło i twarogi. Reszta żywności pochodziła z leśnego zbieractwa. O Marosku i jego żonie opowiadano we wsi przeróżne historie będące prawdopodobnie wytworem ludzkiej wyobraźni inspirowanej specyficznym klimatem długich jesienno-zimowych wieczorów. Samo położenie na zupełnym odludziu sadyby tego niezwyklego człowieka budziło ciekawość wśród mieszkańców Woli i okolicznych wsi. W gruncie rzeczy ten przypominający pustelnika ubogi człowiek żył godnie, bo utrzymywał się z pracy rąk i nie sięgał po jałmużnę. Dla Maroska nie do pomyślenia było chodzić do gminy po zapomogę skoro Pan Bóg dał mu zdrowie i ręce zdolne do roboty. Zresztą gminna zapomoga jawiła się a tym czasie, jako biały kruk, którego niesłychanie trudno spotkać z jeszcze trudniej dla siebie pozyskać. Jeśli los sprawił, że ktoś był w potrzebie mógł szukać pomocy u rodziny, sąsiadów lub innych dobrych ludzi z różnym, co prawda skutkiem, ale państwo nie zatrudniało armii wysoko opłacanych urzędników rozdających pieniądze podatników osobom jakże często unikających pracy i z roku na rok coraz bardziej zapitych i zdegenerowanych. Strach pomyśleć, co byłoby, gdyby wtedy pojawił się ktoś głoszący, że nadejdzie czas, kiedy w okolicznych gminach setki ludzi będą alkoholizować się na koszt państwa ludzie uważaliby go za świra albo wysłannika szatana żegnaliby się na jego widok albo pukali się w głowę. Niezbadane są jednak wyroki Boskie wytyczające ścieżki przyszłości. Marosek podszedł już zupełnie blisko, zdjął czapkę i Boga pochwalił. – Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. – Na wieki wieków odpowiedział mu Wojciech. – Szczęść Boże gospodarzu – kontynuował Marosek. – Bóg zapłać usłyszał słowa gospodarza. Na tym rozmowa się zakończyła, bo obaj znaleźli się w tym miejscu nie po to, żeby wdawać się w dysputę, ale dlatego, żeby wykonać konkretne zadania. Doskonale wiedzieli, że żyjąc w zgodzie z naturą muszą zdążyć wykonać we właściwym czasie określoną robotę w terminie zgodnym z cyklem następujących po sobie pór roku, bo kiedy minie dogodny ku temu czas szansa skorzystania z dobrodziejstw przyrody bezpowrotnie przepadnie. Ponadto obaj byli małomówni, więc nie odczuwali potrzeby gadania po próżnicy. Wojciech wiedział, że musi zakończyć pracę na ziemniaczanym polu, bo czuł w kościach nadchodzącą słotę, która na pewno opóźniłaby redlenie a wtedy szybko rosnące łąty ziemniaczane utworzyłyby zwarty łąn. Próba obsypywania wyrosniętych roślin skończyłaby się połamaniem roślin przez konia, orczyk i radło a rezygnacja z tego zabiegu agrotechnicznego przyczyniłaby się na pewno do zachwaszczenia plantacji. Tak czy inaczej zbiór ziemniaków byłby mniejszy a na to dobry gospodarz nie mógłby sobie pozwolić. Wojciech nie oglądając się cmoknął na konia a ten szarpnął radłem, które zagłębiło się w siwej, podleśnej glebie i w ślad za koniem pogłębiało bruzdę zasypując chwasty, co już zdążyły wyrosnąć po poprzednim obredlaniu. Gospodarz szedł równym krokiem za koniem trzymając w mocnych dłoniach drewniane rączki obsypnika. W tym czasie Marosek przystąpił do ścinania gęstej twardej trawy rosnącej między kępami wrzosu na leśnym ugorze. Tej nazywanej szczotą trawy nie ruszała żadna, szanująca się krowa, nawet najbardziej głodna. Marosek klęcząc ścinał ją ostrym sierpem jak zawsze o tej porze roku, kiedy była jeszcze zielona,

nie czekając do późnego lata aż uschnie, zmieni kolor na popielaty a jej źdźbła całkiem zdrewnieją. W takim stanie nie nadawałaby się na paszę dla żadnego zwierzęcia, nawet tak mało wybrednej kozy. Wycięta i wysuszona w stanie zielonym stanowiła dla kozy Maroska podstawową karmę na zimę. Zanim słońce zbliżyło się do zenitu redlenie ziemniaków było na ukończeniu. Zmęczony koń szedł znacznie wolniej a gospodarz dawał mu czasem odetchnąć, aby nie dopuścić do wystąpienia piany na grzbiecie zwierzęcia, oznaki nadmiernego przemęczenia grożącego chorobą zwierzęcia, na co Wojciech tak bardzo dbający o konia patrzeć by nie mógł na jego krzywdę. Samego siebie jednak nie oszczędzał. Przepocona koszula przylgnęła mu do pleców. Z butów wysypywał siwy piach. Łączną długość ziemniaczanych redlin trzeba by mierzyć w kilometrach. Te kilometry przebyte wąskimi bruzdami po glebie usuwającej się spod butów nadwreżyły jego zdawałoby się niespożyte siły. Dokończył obsypywanie ostatniej redliny, dźwignął radło do góry i skierował konia w stronę wozu, gdzie czekał na niego żłóbek z obrokiem. Podczas, gdy koń raczył się obrokiem gospodarz wyciągnął z kieszeni skórzany pugilares w kształcie podkówki, otworzył i wyciągnął papierosa. Odłamaną połówkę wsunął do cienkiej, szklanej cygarniczki. Zapalił papierosa zapałką i zaciągnął się dymem. Uleganie nałogowi palenia tytoniu było jedną z nielicznych słabości, na jakie pozwalał sobie ten człowiek prowadzący niezwykle surowy tryb życia. Papierosy nawet te najtańsze, które palił niemało kosztowały. Dlatego palił w cygarniczce, żeby wykorzystać maksymalnie każdą sztukę. Sklepy wiejskie ubogo były zaopatrzone, ale nawet tam można było nabyć kilka różnych gatunków łącznie z luksusowymi. Wojciech jednak te wszystkie, rzekomo markowe papierosy całkiem ignorował traktując, jako namiastkę, "Mocnych" jedynie godnych okopcać płuca prawdziwego, twardego mężczyzny. Zapakowane po dwadzieścia sztuk w paczkę wykonaną z lichego papieru przyozdobioną wizerunkiem zielonego liścia tytoniu zaspakajały potrzeby trzech czwartych wielomilionowej rzeszy palaczy w Polsce. Ta ogromna popularność, "Mocnych" nie brała się z ich wyjątkowej, jakości, lecz była rezultatem najniższej ceny, co wcale nie oznaczało, że były tanie skoro kosztowały trzy złote, czyli tyle samo. Co dziesięć kilo kartofli. Taka ilość ziemniaków plus odrobina soli stanowiła często niemal całkowity, tygodniowy wikt niejednej rodziny. Hołdujący nałogowi palenia ratowali chudy budżet rodziny paląc papierosy własnego wyroby z tak zwanej machorki nabijanej w papierowe gilzy. Nierzadko można było spotkać palaczy zawijających tytoń w gazetę. Był to najbardziej prymitywny sposób zadymiania płuc przy pomocy skrętów, którym gruby, zadrukowany papier gazetowy dodawał mocy mierzonej w jednostkach długości występowania kaszlu. Używanie gazet do skręcania papierosów było jednym ze sposobów wykorzystania rządowych organów prasowych obok pakowania towarów, również w sklepach. Do tego celu najlepiej nadawała się rosyjskojęzyczna, "Prawda" niezastąpiona do pakowania sprzedawania prosto z beczki solonych śledzi. Jak śledzi zabrakło można było tę gazetę najczęściej spotkać powieszoną na gwoździu wbitym w wychodku, gdzie służyła do wiadomych celów. Szczególną satysfakcję sprawiały podcierającym się zamieszczone tam zdjęcia przywódców radzieckich. Sprzedaż wyrobów tytoniowych obłożonych wysokim podatkiem akcyzowym przynosiła państwu kolosalne dochody. Skoro wyroby tytoniowe były tak drogie to ciśnie się na usta pytanie. Dlaczego namiętni palacze nie zaopatrzyli się we własny tytoń, choćby z przydomowego ogródka? Otóż tak właśnie było, Wśród warzyw i kwiatów pojawiły się rośliny o dużych, miękkich, zielonych liściach. Sprzedaż gotowych papierosów zaczęła lawinowo spadać. Wtedy mocą decyzji z wysokiego szczebla ruszyły na wieś brygady urzędników skarbowych nazywanych przez lud akcyźnikami. Na domorosłych plantatorów tytoniu posypały się dotkliwe kary pieniężne pod pręgierzem, których uprawy tytoniowe skurczyły do ilości śladowych i zeszły po podziemia a dokładnie w zboża. Zdarzało się, że śródki pszenicznego łąnu gospodarz uprawiał małe poletko pod tytoń. Wokół tej grządki rosła sobie pszenica. Rosła szybciej niż tytoń, więc skutecznie go zasłaniała przed bystrym okiem akcyźnika i jeszcze bystrzejszym donosiciela. Była to skuteczna metoda na wyprowadzenie władzy w pole. Z czasem konspiracja tytoniowa zaczęła wygasać aż znikła zupełnie wobec pewnego wzrostu dochodów ludności i utrzymywania cen papierosów na niezmiennym poziomie przez kilka lat.

Wojciech dopalił połówkę papierosa i wydmuchnął z cygarniczki resztki tytoniu. Pozwolił koniowi jeszcze chwilę pojeść ze żłóbka. Wysokie słońce piekło już niemiłosiernie nie należało, więc zwlekać z powrotem do domu. Gospodarz skompletował zaprzęg a koń, choć zmęczony rażno i ochoczo ruszył na pamięć znaną drogą. Nie było potrzeby ponaglać zwierzęcia, które czując azymut do zagrody zawsze poruszało się zwawiej, niż kiedy oddalało się od domowych pieleszy. Po drodze był jeszcze tylko jeden przystanek w rozlewisku strugi płynącej przez łąki. Podobnie jak rankiem koń zatrzymał się w wodzie i pił dopóki zupełnie nie zaspokoił pragnienia. Kiedy zamącona kopytami woda odpłynęła z prądem na tle piaszczystego dna pojawiły się ławice maleńkich, srebrzystych rybek wielkości paznokcia? Były to cierniki służące na szkolnych lekcjach biologii do objaśniania dość zawiłego procesu rozrodu ryb a prze miejscowych nazywane kolkami, jako że natura wyposażyła je w nieproporcjonalnie duże kolce służące do odstraszenia rybich drapieżców. Struga wijąca się przez łąki Małego i Dużego Kozuba nie była głęboka, średnio sięgała kolan dorosłego człowieka. Występowały na niej liczne płycizny, lecz także miejsca głębsze, gdzie chłopcy po zmaczeniu wody próbowali wiklinowym koszem łowić ryby, często z dobrym skutkiem dla siebie, choć niekoniecznie dla ryb. Rezultatem połowu były z reguły niewielkie piskorze i płocie, czasem trafił się miętus lub okoń a niekiedy nawet sporych rozmiarów szczupak. Co odważniejsi potrafili z podwodnych nor wyciągać raki. Które w obronie własnej zaciskały swoje kleszcze na palcach ręki, co jednak poza lekkim uszczyptnięcie człowiekowi krzywdy nie czyniło, gorzej, jeśli w podwodnej skrytce schronił się wyposażony w ostre zęby piżmowiec? Podczas łowienia, które było jednocześnie przymusową kąpielą dominowała wspaniała zabawa a zdobycz była sprawą drugorzędną, choć prawdę mówiąc smażona ryba była wielkim i rzadkim rarytasem. W wodach tej strugi żyły sobie beztrąsko całe gromady kijanek, żab i innych stworzeń przez ludzi uważanych za niejadalne. Więc mnożyły się niesamowicie do tego stopnia, że bociany, choć liczne nie dawały rady pomniejszyć tego żywiołu. Takie zjawiska można było obserwować do czas ekspansji na wieś wielkiej chemii. Tymczasem Wojciech przyglądał się temu wodnemu światu do chwili aż koń napiwszy się do syta ruszył w dalszą drogę. Zaprzęg i człowiek ponownie znaleźli się w środku gigantycznej sceny, na której w międzyczasie zmieniła się scenografia. Działo się to bez niczyjego udziału, niejako automatycznie, zgonie z oprogramowaniem przypisanym do tego regionu świata, funkcjonującym nieprzerwanie od momentu, kiedy kreator nacisnął na klawisz jakiegoś komputera, którego sposób działania nadal pozostaje poza sferą możliwą do objęcia ludzkim rozumem. Na horyzoncie w ostrym słońcu letniego południa dominowała panorama Woli. Od lewej majaczył w oddali lasek Bogdaszki zwany też Olszynką połączony brukowaną aleją z zieloną bryłą parku Krzysztoporskich zasłaniającego tak skutecznie zabudowania fabryczne. Że tylko wysoki komin kotłowni ponad konary wiekowych drzew. Dalej ciągnął się stary sad dziewiętnastowieczną oranżerią, za którym na niewielkim pagórku stał kilkupiętrowy budynek suszarni z charakterystyczną zagiętą w dół rurą wentylacyjną i kominem na dachu. Dalej na Zachód widniał budynek szkoły wśród domów na Bałutach i gęsto zabudowane centrum wsi z kościołem przy ulicy Wesołej biegnącej a do mostu na dopływie Luciaży. Po prawej stronie horyzontu w nagrzanym drgającym lekko powietrzu widniały zabudowania Kacprowa.

Zaprzęg Wojciecha posuwał się wolno kolejnami ulicy Leśnej. Po pasach zielonej darni na drodze chodziły dwie krowy wyjadając, co lepsze kępki trawy. Zwierząt pilnował dziwacznie ubrany człowiek z potężnym kosturem w rękach. Był to Józek brata jednego z wolskich gospodarzy nazywany powszechnie, Pindziarosia. Przewisko było zbitką jakiejś niefortunnej wypowiedzi niepełnosprawnego Józefa, który w swej ułomności nie był wcale głupi, potrafił poprawnie się wypowiedzieć a nawet śpiewać. Śpiew, który tak lubił stał się dla niego powodem udręki. Dokuczanie kalekom mieściło się wtedy w kanonie szeroko rozumianej rozrywki. Ulubionym szlagierami Józka były pieśni patriotyczne, szczególnie te o Piłsudskim, za Stalina zabronione. Ubeccy donosiciele nie nadstawiali ucha w szczerym polu, mógł, więc pastuch śpiewać sobie ile tylko chciał. – Jedzie, jedzie na kasztance siwy strzelca strój. Hej, hej Komendancie miły wodzu mój –ciągnął Józek na cały głos. Donośny śpiew zwabiał pasącą w pobliżu bydło czeredę

wścibskich chłopaków. Urwisy przekręcały słowa kultowej piosenki starszego pokolenia krzyżąc: Jedzie, jedzie na kasiance! Bezczelne małpowanie budziło u pastucha wybuch niepohamowanej złości. Chwytał, więc za kostur i gonił natrętów a oni uciekali śmiejąc się z zagniewanego inwalidy. Józkowi żyłoby się znośnie, gdyby nie wredne wygłupy gówniarzy. Praca w gospodarstwie brata dawała mu poczucie użyteczności. Dumny nawet był. Że chleba za darmo nie jadł, miał dach nad głową, czystą pościel i ciepły kąpiel na zimę. Nikomu wtedy do głowy nie przyszło, że życie kaleki może wyglądać inaczej, bo gdyby Józef żył pół wieku później zapewne byłby beneficjentem renty socjalnej. Krów na pewno by nie pasał, tylko całe dni spędzał przed jakimś punktem sprzedaży napojów alkoholowych, powiększając armię alkoholików uprawiających nałóg na koszt państw i zatracających w sobie człowieczeństwo.

W oczach Wojciecha Józek nie będąc darmozjadem zasługiwał na szacunek podobnie jak Marosek, choć stał niżej od gospodarza w hierarchii społecznej na wsi. Odpowiadał zawsze grzecznie na jego pozdrowienie i tym razem też. Koń rażno pospieszał do zagrody a Wojciech wypoczywał siedząc na miękkim siedzeniu, zadowolony z dobrze wykonanej pracy. Czuł się szczęśliwy wśród łąnów dojrzewających zbóż, zielonych łąk, pobudzony zapachami bujnego lata, Dojeżdżając do wsi ogarniał mocnym wzrokiem przyjazną, życiową przestrzeń daną mu z mocy Opatrzności, Koń całkiem bez jego udziału wprowadził zaprzęg w długą ulicę Wesołą i ciągnął w stronę domu. Za chwilę słysząc turkot wozu Marianna wyjdzie przed dom i zapyta: -jak się redliło? -Dobrze – odpowie lakonicznie Wojciech. Gospodyni doskonale wiedziała, że gospodarz nie zjedzie z pola dopóki nie obsypie wszystkich rosnących tam ziemniaków, co do jednego krzaka, ale zada jeszcze jedno retoryczne pytanie w czasie, gdy Wojciech będzie zdejmował uprząg z konia. – Ile pola zostało ci jeszcze do obredlenia Wojtek? Nic, obredliłem całe staje – krótko odpowie z ukrywaną dumą. – No to musiałeś się uwijać – dziwi się żona i to zdziwienie Wojciech odbiera, jako nagrodę za swój nie całkiem zwyczajny wysiłek.

Ratuj nas w potrzebie

Już w połowie sierpnia wieś żyła pielgrzymką Było to najważniejsze wydarzenie latem obok odpustu na błogosławionego Czesława. O odpuście wszyscy już jednak zapomnieli a przygotowania do największej w roku wędrówki trwały w najlepsze. W naszym domu siłą sprawczą uczestnictwa w kompani, bo tak nazywano pielgrzymkę, była nasza nieoceniona babcia. Pielgrzymowanie na Jasną Górę było dla niej ważniejsze niż wyprawa do Mekki dla fanatycznego islamisty, Dojść pieszo do Częstochowy, upaść na kolana w słynnej kaplicy, podziękować za wszystko Jasnogórskiej Pani i prosić o dalsze wsparcie dla rodziny. Taki był właśnie cel corocznej, pieszej wędrówki wypełnionej kultem Matki Bożej w modlitwie i pieśni. Zanim jednak nastał dzień wyjścia poprzedzający go czas był dla babci nie lada wyzwaniem. Nie da się, bowiem pieszo przemierzać dziesiątek kilometrów bez jedzenia i picia. Trzeba było, więc przygotować prowiant na tygodniowy pobyt poza domem. Nie mogło być inaczej, bo na zdrożonych pielgrzymów nie czekały w restauracjach i barach stoły uginające się od jadła a co najwyżej szklanka przegotowanej wody podana przez dobrych ludzi. Zdobycie coś do jedzenia po drodze graniczyło z cudem, ale babcia, choć głęboko wierząca na taki cud nie liczyła. Zaczynała, więc aprowizację od podsuszania nad trzonem kuchennym dobrej, wieprzowej kiełbasy Kilka pęt tej wędliny owiniętych papierem podsuszało podczas gotowania obiadów, tracąc zbędną wodę i nabierając trwałości, pozwalającej zachować walory spożywcze i smakowe przez kilka dni, nawet podczas dużych upałów. Podobnie nabierały trwałości sery wyczarowane przez babcię z twarogów domowej produkcji, odciskanych w drewnianej prasce z nadmiaru serwatki w lnianym woreczku uformowanym w taki sposób, żeby nadać gotowemu wyrobowi kształt serca. Najbardziej zapracowaną była babcia w dniu poprzedzającym wyjście. Zaczynała rankiem od wyrabiania ciasta na chleb i drożdżowy placek. Zabierała się też do pakowania podróży tobołów a w międzyczasie ubijała masło w drewnianej kierzance i gotowała jaja na twardo. Całość aprowizacji uzupełniały kiszone ogórki i owoce z własnego sadu. Do picia zabierano zbożową kawę, ale na ogół pragnienie gasili pielgrzymi zwykłą wodą czerpaną

za zgodą właścicieli studzien podczas postojów. Żywność zajmowała tylko część bagaży. Podróżne toboły rosły w miarę wypełniania ubraniami, bielizną na zmianę, środkami czystości, poduszeczkami i kocami. Dzień przed wyjściem dzieci z przyrodzoną ciekawością przyglądały się metamorfozie zwykłych, chłopskich wozów. Najpierw gospodarze sprawdzali dokładnie stan techniczny furmanek, bo mogły mieć jakieś usterki po pracowitych żniwach i zwózce plonów. Do wożenia dobytku pielgrzymów zgłaszali się gospodarze posiadający mocne dobrze ułożone, nie narowiste konie obyte, co nieco z ruchem samochodowym. Nie było takich zbyt wiele. Większość miejscowych koni bała się jak diabła warczących i dymiących samochodów i przeraźliwego jazgotu klaksonów. Na widok takiego intruza na drodze poczciwa by się zdawało szkapa nagle stawała dęba, gotowa pogruchotać kości każdemu, kto znalazł się w zasięgu jej pyska i kopyt. Wybierano, więc na tę niecodzienną podróż konie wyjątkowo spokojne zabezpieczając dodatkowo przed spłoszeniem klapkami na oczy, które ograniczały zasięg wzroku zwierzęcia do patrzenia na wprost. Działo się to w czasie rewolucyjnych zmian w konstrukcji chłopskich wozów. W miejsce dziewiętnastowiecznych żeleźniaków, czyli wozów na drewnianych spiętych żelazną obręczach kołach wprowadzano gumowce, czyli dużo większe wozy wyposażone w koła wykonane z felg samochodowych. O nowych oponach nie było mowy. Dostępne były tylko dość mocno zużyte, ale jeszcze przydatne, jako wyposażenie powolnych konnych pojazdów. Gumowce natychmiast wyparły żeleźniaki z pielgrzymkowej kawalkady ze względu na zdecydowanie większą ładowność i komfort jazdy. Taki właśnie gumowiec zakupił ojciec na potrzeby gospodarstwa dziadka, który choć w tym czasie na pielgrzymki nie chodził pożyczał swój wóz sąsiadowi przez ulicę Mielczarkowi nazywanemu we wsi Kubą. Przydomek ten w żaden sposób nie mógł uchodzić za obraźliwy, lecz we wsi panowało przekonanie, że nazwany tak Mielczarek wpadał w złość, więc choć powszechnie nazywano go Kubą to jednak nikt się nie odważył zwrócić się do niego w ten sposób. Kuba miał dwóch synów, Józka i Janka. Obaj odziedziczyli po ojcu przydomek. Mało, kto znał we wsi ich nazwisko. Mówiono o Józku Kubie, który odziedziczył po ojcu gospodarstwo i młodszym Janku Kubie obdarzonym wybitnym talentem piłkarskim, który zaprezentował kilkakrotnie w barwach Wolanki czarując kibiców nienaganną techniką i doskonałym przeglądem boiska. Kariery piłkarskiej jednak nie zrobił, szybko zniknął z klubu i nie dał się namówić do powrotu i w świat gdzieś wyjechał. Bracia Mielczarkowie mieli też siostrę, co z męża nazywała się Sójka i mieszkała w Piotrkowie na Abisynii koło Korei. Tak nazywano enklawy bieda domków przy drodze na lotnisko w okolicy huty Feniks. Dziadek Wojciech i Kuba uchodzili we wsi za przyjaciół. Dziwne jednak musiało być to koleżeństwo skoro obaj byli mocno oszczędni w słowach, więc jak się spotkali to sobie chyba przyjaźnie pomilczeli. Pewnego dnia wysłał mnie dziadek do Kuby po babkę do klepania kosy. Dziadek był dla mnie wielkim autorytetem, więc nie zwlekając pobiegłem na jednej nodze. – Panie Kuba, dziadek mnie przysłał po babkę do klepania kosy – wyrecytowałem z wyraźnym przejęciem. Mielczarek nawet mnie nie zbeształ. Uśmiechnął się tajemniczo pod wąsem, odnalazł narzędzie w jakimś żelastwie i kazał zanieść dziadkowi. Opowiadając tę historię wzbudziłem w domu duże zainteresowanie przyprawione jednak pewnym niedowierzaniem, że nie zostałem porządnie skarcony za gafę, którą mimowolnie strzeliłem. Jednocześnie spotkałem się z podziwem ze strony kolegów z podwórka za rzekomą odwagę wykazaną w obliczu gospodarza, który uchodził za postrach wśród dzieciarni, całkiem niesłusznie, bo był to człowiek gołębiego serca. Byłem też na podwórku, kiedy dziadek zaprowadził tam wóz do zadaszenia na potrzeby pielgrzymów. Obaj gospodarze bez gadania po próżnicy zajęli się montowaniem na wozie drewnianego stelażu przy pomocy wcześniej wykonanych z brzoźowych pędów pałaków połączonych długimi, płaskimi listwami. Powstały w ten sposób szkielet furgonu obciągnęli brezentową plandeką przytroczoną mocno do drewnianej skrzyni wozu. Po tej modyfikacji zwykły wóz konny nabrał malowniczego wyglądu i tajemniczego charakteru. Takich wozów przygotowano we wsi kilka. Miały one wozić bagaże pielgrzymów ciągnąc za kompanią jak cygański tabor. W przeddzień wyjścia, wieczorem wnętrza tych furgonów pochłaniały donoszone przez pielgrzymów bagaże, niezbędne wyposażenie oraz tygodniowy

przydział obroku dla koni. Wszystko to znikało w przepastnych głębiach brezentowych bud ozdobionych na zewnątrz gałązkami świerczyny, zwieńczonych z przodu koroną upleciona z takich samych gałązek nad głową powożącego. Z lewej strony pojazdu przymocowano naftową latarkę na wypadek. Gdy przyszło podróżować nocą. Konie lubo, na co dzień dobrze utrzymane pyszniły się efektownymi grzywami i ogonami a sierść miały tak gładką i lśniąca, że z daleka wyglądały jak malowane w wypucowanej do połysku uprzęży. Kopyta końskie były świeżo uzbrojone w podkowy mogły, więc bez trudu pokonać 150 kilometrów po twardej drodze.

Wczesnym rankiem w poniedziałek 23 sierpnia 1954 roku niewielki, wolski kościół zapełnił się ludźmi ubranymi zupełnie inaczej niż na niedzielnych nabożeństwach. Część wiernych odprowadzających pielgrzymkę ubrana była jak zawsze, natomiast pielgrzymi różnili się od nich już na pierwszy rzut oka. Młode kobiety nosiły spodnie a starsze dość luźne, kretonowe sukienki. Strój uzupełniały lekkie, wełniane sweterki i chustki na głowach. Najważniejsze było obuwie i tu dominowały sandały, tenisówki i luźne buty nazywane czółenkami. Najbardziej kolorowo ubrane były dzieci. Chłopcy w krótkie spodnie, koszulki jedwabne albo kretonowe, w modne podkolanówki, sandały zwane też rzymkami, trampki lub tenisówki. Mężczyzn było niewiele, niektórzy pozakładali jasne, lekkie kurtki nazywane wiatrówkami. Neofici wśród pątników mocno przejęci pierwszą w życiu pielgrzymką kupili sobie na tę okazję nowe ubrania i buty. Prezentując się efektownie mieli na początek powody do dumy, ale po przejściu zaledwie kilku kilometrów uwierały ich ubrania a stopy mieli całe w pęcherzach. Ksiądz proboszcz Jan Brachowski nie krył wzruszenia błogosławiąc i żegnając na drogę całkiem pokaźną grupę swoich parafian. Minęło już wprawdzie półtora roku od śmierci Stalina, ale stalinizm nie przeszedł jeszcze do historii i miał się całkiem dobrze. Nadal pod karą więzienia nie wolno było organizować i uczestniczyć w zgromadzeniach religijnych poza miejscami kultu, czyli zabronione było manifestowanie uczuć religijnych poza murami kościołów. Dla mieszkańców Woli przywiązanych do udziału w pielgrzymkach i procesjach oznaczało to zamknięcie w getcie wyznaniowym. Uderzało w wielowiekową tradycję wolności wyznania wywodzącą się zapewne od czasu przybycia tu Krzysztoporskich, czyli od ponad pół tysiąca lat. Mocą woli politycznej reżymu miały zniknąć raz na zawsze wszystkie obrzędy kultywowane poza świątynią w tym procesje na Boże Ciało i Matki Boskiej Zielnej a przede wszystkim pielgrzymki na Jasną Górę. To był pierwszy etap zaplanowanej walki z Kościołem, następny miał przynieść zamknięcie świątyń, ale już teraz udział w kościelnych nabożeństwach był zagrożony represjami. W rezultacie nasilającej się walki z religią władza nie tolerowała praktyk religijnych nawet u zwykłych obywateli zatrudnionych na państwowych etatach. Partia komunistyczna kontrolowała nie tylko aparat państwa, ale niemal całą gospodarkę, więc w świątyniach obok emerytów widać było głównie niepracujące kobiety, dzieci i rolników utrzymujących się wyłącznie z pracy we własnych gospodarstwach. Nic też dziwnego, że właśnie taki był skład osobowy wolskiej pielgrzymki. Katolicyzm polski po raz pierwszy w swojej historii poddany metodycznym represjom na wyniszczenie ugiął się, ale nie załamał. Z woli przetrwania podzielił się na dwa nurty: kontestujący i konspiracyjny. Ludzie z pierwszego nurtu zapełniali kościoły, uczestniczyli w obrzędach, procesjach i pielgrzymkach. Władza nawet ta nadana z woli obcego mocarstwa nie mogła walczyć z całym narodem, dlatego z konieczności tolerowała nieposłusznych tłumacząc ich postępowanie niską świadomością światopoglądową i społeczną. Według partyjnej propagandy byli to ludzie ciemni pozostający pod przemożnym wpływem przesądów i zabobonów. Nie było natomiast miejsca dla praktykujących katolików w urzędach, szkołach i wszelkich instytucjach użyteczności publicznej. W obawie przed wyrzuceniem z pracy ludzie stosowali kamuflaż pozornie odsuwając się od Kościoła. Pozostając jednak w głębi duszy wierzącymi stworzyli w katolicyzmie nurt konspiracyjny nie mniej liczny a może liczniejszy od pierwszego. Byli w nim porządni ludzie, których ta sytuacja życiowa wprowadzała w zażenowanie, ale byli też ludzie cyniczni i dwulicowi, kreatorzy hańby domowej jak później nazwano to zjawisko w polskiej kulturze. Zakonspirowani katolicy odbywali praktyki religijne w głębokiej tajemnicy z dala od miejsca zamieszkania w tłumie wiernych mogli

pozostać nierozpoznani, więc tam uczestniczyli w obrzędach, przyjmowali sakramenty, prowadzili dzieci do pierwszej komunii. Nie udało się, więc reżymowi potargać więzy społeczeństwa z Kościołem. Zdecydowanie ateistyczna była tylko wąska grupa partyjniaków nazywana wzgardliwie peperowcami, ale wśród nich też byli konformiści, tacy, co to Panu Bogu świeczkę a diabłu ogarek. Ksiądz zakończył właśnie odprawę pielgrzymów i kompania wyszła z kościoła niosąc aż do bramy krzyż z wizerunkiem konającego Chrystusa. Na pożegnanie z wnętrza w fasadzie kościoła świergoliła sygnaturka jak wiosenny skowronek. Za bramą zamieniono krzyż liturgiczny na zwykły, drewniany potajemnie wykonany przez stolarza Zygmunta Stefaniaka, który często coś strugał i zbijał dla kościoła. W bramie stał ksiądz i błogosławił na drogę, bo dalej z pielgrzymką pod karą więzienia iść nie miał prawa. Z podwórek wyjeżdżały wozy z brezentowymi budami i formowały się w kolumnę za tłumem podążającym za człowiekiem dźwigającym ten na prędcie wystrugany przez stolarza krzyż. Kompania szła ulicą Wesołą potem drogą za ogrodem w kierunku folwarku i dalej na Wygodę, Wroników, Niechcice. Droga na wygodę wiodła przez środek Fabryki Chemicznej, gdzie był posterunek milicji na czas przejścia pielgrzymki zamknięty na głucho. Jak tylko wyszli z placu kościelnego z setek ust wyrwała się pieśń „Serdeczna Matko” śpiewana w tempie marsza? Na co dzień śpiewana w kościele nie robiła wielkiego wrażenia, ale śpiewana w marszu nabrała rytmu i mocy.

- Serdeczna Matko opiekunko ludzi,

Niech cię płacz sierot do litości wzbudzi.

A potem ten napisany specjalnie dla pielgrzymów refren, w którym fatalizm mieszał się z nadzieją. –

Matko Częstochowska ratuj nas w potrzebie

- Może ostatni raz idziemy do ciebie.

Na wygodzie pod wiejskim krzyżem pielgrzymi zegnali się z rodzinami. Nieliczni szli jeszcze do Lasek i Wronikowa, gdzie był pierwszy, krótki odpoczynek. Dalej do Niechcic kompania maszerowała już bez asysty, lecz za to w szybszym tempie, jak to na początek. Pielgrzymowały całe rodziny ze Wsi i z Folwarku. Najliczniej uczestniczył klan Banaszczyków wzmocniony spokrewnionymi rodzinami Motyków, Kieresiów, Szczepaników, Szulców, Famulskich i Amrozików. Stanowili trzon pielgrzymki a w Częstochowie zatrzymywali się u rodziny rezygnując z odpłatnych miejsc noclegowych oferowanych przez zaradnych mieszkańców miasta. Czekala na nich przesympatyczna ciocia Józia Trąbska Do Trąbskich stwał się w dniach 25i 26 sierpnia jedną wielką noclegownią. Józefa Trąbska z domu Kiereś w Boże Narodzenie 1920 roku wyszła za mąż w Częstochowie za kolejarza Zygmunta Trąbskiego i zamieszkała w tym mieście. Siostra jej ojca, też Józefa była żoną Wojciecha Banaszczyka i urodziła mu ośmioro zdrowych dzieci: Józefa, Mariannę, Stefana, Helenę, Stanisława, Marcina, Leokadię i Bolesława, była prawdziwą matką Banaszczyków. Cała ta ósemka miała już gromadę wnuków. Musiały być te dwa dni w roku radosne dla osamotnionej nieco w Częstochowie cioci, ale też mocno kłopotliwe. Starala się pomieścić wszystkich kuzynów układając na podłodze, bo byli tak liczni, że gdyby wszyscy chcieli spać w łóżkach musieliby wynająć spory hotelik. Oczywiście nie było w mieście hotelu na kieszeń skromnych, wolskich pielgrzymów, dlatego doceniali szlachetną gościnność kuzynki i odnosili się do niej z szacunkiem i wdzięcznością. Nie bardzo mieli się, czym odwdziaczyć, mogli się tylko podzielić z rodziną Trąbskich swoim chlebem, grzybami, masłem, serami i sercem.

Zanim pielgrzymi mogli dać odpocząć nadwerężonym stopom na dywanie u kuzynki w Częstochowie musieli pokonać 80 kilometrów w dwa dni. Jak trudne to będzie zadanie doświadczyli już na pierwszym postoju w Niechcicach? Zobaczyli tam kościół wprawdzie niewielki, ale wewnątrz pomalowany tak pięknie, że wzbudzał zachwyt wielu z nich, choć jeszcze większy zachwyt wzbudzała równa jak stół asfaltowa nawierzchnia najważniejszej w Polsce drogi z Warszawy do Katowic i Krakowa.

Wypoczywając na trawie porastającej przydrożny rów z troską przyglądali się pierwszym zadrapaniom i odciskom na nogach, bo przecież przemierzyli dopiero 9 kilometrów. Jak to bywa na początku drogi duch jeszcze był ochoczy a ciało nie tak bardzo mdłe, dlatego idąc już po gładkiej nawierzchni bez problemów

pokonali następne 9 kilometrów do Kamińska podziwiając po drodze maleńki kościółek na stromym pagórku we wsi Czermno nazywany Pociesznią Górką? Dalej droga zagłębiała się w lasach, które urywały się nagle po kilku kilometrach odsłaniając widok na przedziwne, bajkowe miasteczko. Miejsowość nie przypominała mi żadnego ze znanych mi układów urbanistyczno-architektonicznych. Wzorem miejskości wydawał mi się Piotrków, gdzie często przebywałem u dziadków. Miasto zadziwiało potężnymi kamienicami w Alejach, oddychającym wielką historią Starym Miastem, deptakiem na Słowackiego, ruchliwym dworcem kolejowym, szpitalami, szkołami i fabrykami na przedmieściach. Wola wglądała całkiem inaczej jak coś pośredniego między miastem a wsią z chłopskimi zagrodami na Wesołej, piętrowymi domami na Kościuszki z Folwarkiem, gdzie parterowe i piętrowe domy zamieszkałe przez robotników otaczały potężną fabrykę, pałacem Szpilfoglów dawnym ogrodem Krzysztoperskich. W porównaniu do tych znanych mi miejsc Kamińsk prezentował się niemal egzotycznie zabudowany małymi, zespolonymi w szeregu domkami z białego kamienia wzdłuż drogi z Piotrkowa do Radomska i kilkoma brukowanymi uliczkami zagubionymi w okolicy potężnego kościoła. Ze stodoły słychać było odgłos uderzeń cepami w gliniane klepiska. Ten sposób młócenia zboża niczym ze skansenu był tu jeszcze kultywowany z konieczności, bo żadna młockarnia nie mogła sforsować wąskich i nisko sklepionych bram wjazdowych na ciasne podwórka. Egzotycznego uroku dodawały tej zabudowie szpalery drzew rosnących gęsto na poboczach uliczek, na wiosnę obrąbywanych doszczętnie z gałęzi. Nieszczęsne drzewka pobudzane siłą sprawczą przyrody zadziwiały regularnymi koronami w kształcie zielonych, bizantyjskich kopuł. Przemysłu nie uświadczyłeś tu żadnego, więc ludność miała się różnych zajęć, szczególnie uprawy i kiszenia ogórków. Z których Kamińsk słynął w okolicy. Po modlitwie w imponującym wielkością i wystrojem kościele i krótkim wypoczynku na ubitej ziemi placu, przed świątynią kompania ruszyła w drogę na pierwszy nocleg do Pławna i Gidel. Wieczorem przy kolacji, kiedy zelżał nieco tępy ból umęczonych pięćdziesięciokilometrowym marszem nóg kobiety snuły opowieść o znalezisku gidelskim. Jak dawno, dawno temu miejscowy rolnik wyorał obraz Matki Boskiej? Ciotka Apolonia podśpiewywała ułożoną na tę okoliczność pieśń kościelną. – A on bije i katuje, nawet zabić obiecuje – śpiewała o wołach ciągnących pług, które poklękały przed wyoranym obrazem. Oracz, który nic nie zauważył próbował biciem bezskutecznie zmusić je do dalszej orki. W miejscu znaleziska wybudowano świątynię. W której obraz znalazł godne miejsce. Zasluchani zapomnieliśmy o swojsko pachnącym, świeżym jeszcze chlebie posmarowanym masłem przechowywanym w słoiku z zimną wodą. Kromki posmarowane pysznym, swojskim masłem ozdobił i wzbogacał znakomity ser uformowany przez babcię w kształt serca. Zapach tych pyszności walczył o lepsze z drażniącym zmysł powonienia zapachem wędzonej szynki krajanej w plastry przez ciotkę Kiereśkę, babkę raci Famulskich słynnych wolskich sportowców. Ciotka, niewiedząco czy słusznie uważana była za skąpiradło. Jadła szyneczkę samotnie trzymając zapas na następne dni. Upały jednak zrobiły swoje i wędzonka niestety straciła na świeżości a nawet, co nieco z zieleniała. Wtedy ciotka w przypływie wymuszonej hojności wzięła się do częstowania, kogo popadnie wzbudzając wśród pielgrzymów skrywaną wesołość. – Zosiu weź sobie szyneczki – zachęcała córkę ciotki Heleny Szczepanikowej. Zosia, choć po komunii musiała nakłamać, żeby wykręcić się do spożywania nieświeżej szynki. Tak zdarzyło się w drodze powrotnej, teraz kolacja pachniała nam aż ssało w dołku, choć w końcu apetyt przegrał ze zmęczeniem i sennością i tak naprawdę został zaspokojony dopiero następnego ranka po nocnym wypoczynku na słomie wyłożonej na klepisku stodoły. W drugim dniu marszu wypatrywaliśmy kolejnych tablic informujących o odległości dzielącej nas jeszcze od celu pielgrzymki. W miarę oddalania się od miejsca noclegu kilometry niemiłosiernie się wydłużały a tempo marszu spadało. Zapotrzebowanie na wypoczynek zwiększało się, rosła, więc częstotliwość postojów i czas na leżenie na skarpach rowów z nogami ułożonymi powyżej głowy. Kilka osób znalazło sobie miejsce na wozach wśród bagaży. Dotyczyło to tych pielgrzymów, których stopy obrodziły pęcherzami wypełnionymi żółtawą limfą łagodzącą nieco ból. Niektóre dzieciaki ruchliwe i

wszędobylskie na początku drogi były bliskie płaczu. Powożący końmi zmieniali się, co jakiś czas. Stary sołtys Stefan Motyka od lat pielgrzymujący szedł często obok konia oddając lejce i miejsce na wozie komuś, kto nie mógł dalej wędrować o własnych siłach. Tak było do czasu, kiedy zabudowania przy drodze zaczęły gęstnieć i rosnąć w pięterka a na poboczu drogi ukazała się tablica z napisem Częstochowa. Na ten widok pielgrzymom jakby przybyło sił a kompania nabierała tempa w marszu i niezadługo dotarła do skrzyżowania skąd biegła na Jasną Górę aleja Najświętszej Mari Panny. Idąc tą słynną aleją pielgrzymi przechodzili coś w rodzaju metamorfozy, wyglądało na to, że zadziałała chemia. W jednej chwili nieważne stały się fizyczne dolegliwości i nabyte po drodze urazy. Tchnięci elektryzującym dreszczem poddali się zbiorowej emocji dodającej lekkości krokom. Na twarzach spalonych słońcem malowało się przedziwne natchnienie, zarówno na tych zmarszczonych siłą płynącego czasu i na tych emanujących powabem młodości. Duch zapanował nad materią i niósł ich jak na skrzydłach do Jasnogórskiej Pani, w którą wierzyli niezachwianie i bezgranicznie jej ufali. Mocno zabrzmiała pieśń, co towarzyszyła im przez całą drogę.

-Matko Częstochowska ratuj nas w potrzebie

Może ostatni raz idziemy do ciebie.

Szli obok szpaleru kramów z dewocjonaliami, ale czas zakupów jeszcze nie nadszedł. Jednak zanim ruszą w powrotną drogę sięgną do ukrytych pod bielizną woreczków po pieniądze ciężko zapracowane i zaoszczędzone na tę właśnie, jedyną w roku wyprawę. Jasna Góra witała ich nie tylko atmosferą modlitewnej zadumy i wyciszenia, zadziwiała też niezliczonymi wotami zawieszonymi na ścianach kaplicy przez cudownie uzdrowionych, które świadczyły o niemal fizycznej tu obecności Bożej Rodzicielki. Miasto u stóp klasztoru wabiło kolorytem nieustającego odpustu. Niezliczone stragany przyciągały przebogata ekspozycją religijnych gadżetów. Na stołach zalegały w wielkiej obfitości: drewniane różańce, ozdobne gromnice, butelki na cudowną wodę od św. Anny, wszelkiego kalibru obrazy i obrazki Madonny, święte figurki, krzyże i krzyżyki, książeczki do nabożeństwa i setki innych przedmiotów religijnego kiczu a wszystko uszlachetnione magicznym napisem, Pamiątka z Jasnej Góry. Największym powodzeniem cieszyły się drewniane laski z rzeźbionymi uchwytami, nieodłączne atrybuty wszystkich wędrowców. Kupowano pamiątki z myślą o bliskich, dla których jasnogórskie upominki stanowiły namiastkę przygody będącej udziałem szczęśliwców uczestniczących w tej niezwyklej wędrówce. Zanim jednak nadejdzie czas powrotu będą pielgrzymi uczestniczyć w cudzie jasnogórskim ściągającym na przyklasztorne błonia niezliczone rzesze ludzi poszukujących nadziei.

Wolska kompania zbliżała się do majestatycznej bryły klasztoru. Szli obok siebie ludzie ze Wsi i z Folwarku. Szła ciotka Marysia żona Bolesława, najmłodszego z liczego rodzeństwa Banaszczyków, szedł Ignacy Mielczarek szofer dowożący robotników do fabryki, szła Gąsiorka Józiowa i wszędobylski Tadek Pigularz. Przed słynną, historyczną bramą klasztoru czekał na nich pasterz Jan Brachowski. Czekał na moment, kiedy będzie mógł wprowadzić swoich wiernych parafian do kaplicy z przesławnym obrazem.

Soso

Niezlomny jest Związek republik Radzieckich – zabrzmiały mocne słowa niesione muzyką porażającą słuchacza i przyprawiającą o dreszcze. Z radia a może z gramofonu płynęły słowa sławiące państwo radzieckie i jego założycieli. Jeden z nich najbardziej znany uśmiechał się dobrotliwie pod wąsem z portretu wiszącego na ścianie kancelarii z czerwonym suknem w tle przepasany czarną wstążką. Pod portretem na stoliku stało ponadnaturalnej wielkości jego gipsowe popiersie. Dwie czerwone flagi dopełniały ołtarzyk wystawiony Józefowi Wissarionowiczowi Stalinowi. Na długim korytarzu czwórkami stały uczennice i stali uczniowie. Od maluchów z pierwszej po wyrosniętych dryblasów z siódmej klasy. Część dzieci miała na sobie harcerskie bluzy z pagonami, ale wszystkie bez wyjątku miały związane czerwone, pionierskie chusty. Kierownik Juliusz Wawrzynkowski stał na baczność w otoczeniu grupki nauczycieli tuż przy białym popiersiu wodza. Po wysłuchaniu hymnu zapadła cisza.

Kierownik chrząknął dwa razy i zaczął przemawiać. Niestety, jako matematyk najlepszym mówcą nie był. Słysząc było, z jakim trudem składała słowa we frazy starając się wyrazić żal i oddać hołd wodzowi. Mówił, że miliony ludzi na świecie ogarnął smutek na wieść o odejściu największego człowieka wszechczasów. Tu utracił płynność retora i ratował się treścią radiowego komunikatu. Powtarzał słowa oficjalnej propagandy o tym, że cały świat stanął w miejscu a miłujące pokój narody zamarły w przerażeniu. Po czym znowu brakło mu słów, więc zakończył przemówienie, co z nieklamanych zadowoleniem przyjęła dzieciarnia. Chwilowe odprężenie wśród młodzieży szybko się zakończyło po zdecydowanej reprimendzie ze strony nauczycielek. Nadszedł czas na występy artystyczne. Dziewczynki w białych bluzkach i plisowanych granatowych spódniczkach oraz chłopcy w spodniach granatowych i białych koszulach, przyozdobieni czerwonymi chustami przejęli na siebie ciężar kontynuacji tej szczególnej uroczystości.

Był początek marca a korytarz nie był ogrzewany, ale wypełniony sporą, uczniowską gromadką stał się pomieszczeniem ciepłym a nawet dusznym. Wezwano, więc po cichu woźną Raźniewską, żeby uchyliła okna wychodzące na uliczkę biegnącą wzdłuż drewnianego płotu chroniącego dawny dworski ogród, szary i pusty o tej porze. W tym korytarzu dobywały się regularnie apele, na których wdrażano dzieciarnię w tryby komunistycznej maszynery propagandowej. Na okoliczność ważniejszych rocznic zwykły apel zastępowała akademia, czyli spotkanie szczególnie uroczyste składające się z części oficjalnej i artystycznej. Kierownik wygłaszając skrócony z konieczności referat uporał się z pierwszą częścią uroczystości. Część druga należała do wystrojonych w stylu radzieckich pionierów dzieci przygotowanych w trybie alarmowym przez nauczycielki. Młodociani artyści recytowali i śpiewali. Cała plejada małych aktorów i śpiewaków obojga płci przełamując trapiącą ich treść głosiła wielkość i sławę towarzysza Stalina. Im młodsi byli artyści z tym większym przejęciem występowali, na co wskazywały łamiące się głosy wykonawców i wypieki na ich twarzach. Dzieci prezentowały utwory najświetniejszych polskich oraz zagranicznych poetów i kompozytorów. Źródeł tej twórczości należy szukać nie tylko w obrzydliwym serwilizmie, ale też w autentycznej fascynacji osobą „Wielkiego Językoznawcy”, których do pisania panegiryków skłoniła zwykła krótkowzroczność i owczy pęd wywołany nieustającą, natarczywą propagandą. Nazwisk tych znakomitych skądinąd autorów nie należy jednak wymieniać z szacunku dla całokształtu ich twórczości tym bardziej, że nie zbrakło wśród nich nawet przyszłej noblistki. Występujące na akademii dzieci na ogół nie wątpiły, że składają hołd największemu z ludzi. Znajdowały się przecież pod przemożnym wpływem nauczycieli, którzy, na co dzień wpajali im wiarę w wielkość Związku Radzieckiego i jego genialnego przywódcy. Starsze dzieci widziały w towarzyszu Stalinie bohaterskiego wodza a młodsze tajemniczego Soso ze szkolnych czytanek.

Dzieci mają to do siebie, że trudno je utrzymać dłużej w karnych szeregach ze względu na naturalną potrzebę ruchu i charakterystyczną dla nich beztróskę. Po pewnym czasie, gdy pryska czar i fascynacja jakimś zjawiskiem albo wydarzeniem zaczynają się kręcić oraz interesować zgoła błahymi sprawami. Lecz ciekawymi z ich punktu widzenia. Tym razem nie było inaczej. Najczęściej dochodziło do destabilizacji spokojnej dotąd gromadki z powodu wiecznych animozji pomiędzy dziewczynkami i chłopcami. Drake rozpoczynali chłopcy od pociągania koleżanek za warkoczyki, choć każdy inny powód był dobry, żeby porozrabiać. Akademia zaczynała się dłużyć a chłopaki zaczynali się wiercić, kręcić i rozglądać na wszystkie strony. Stojący w grupce trzecioklasistów Włodek Ałaszewski zauważył na kołnierzu jednego z kolegów białe drobiny łupieżu. Z nudów liczył te okruchy naskórka. Wpatrując się w kołnierzyk w pewnej chwili odniósł wrażenie, że te białe plamki zaczęły się poruszać. Patrzył i oczom nie wierzył widząc jak domniemany łupież przebiera małymi nóżkami. Aby upewnić się, że nie uległ jakiejś halucynacji szturchnął stojącego obok Wicka Motylskiego i wskazał mu zjawisko, które od pewnego czasu z zainteresowaniem obserwował. Ten rzucił okiem i oma nie wybuchnął pustym śmiechem poczym szybko przekazał informację innym uczniom. Chłopaki na widok łączących po kołnierzu kolegi

wszy natychmiast stracili zainteresowanie dla stojących przed nimi, wystrojonych świątecznie dziewczyn. Nieliczni tylko usiłowali spojrzeć w piękne oczy czarnowłosej Marylki Stankiewicz wyglądającej dziś wśród jasnowłosych koleżanek jak mała grecka księżniczka. Pozostałych bez reszty ogarnął śmiech. Na ogół śmiech bywa zaraźliwy, więc trudno się dziwić, że beztroski nastrój szerzył się wśród dzieciarni jak grypa na przedwiośniu ku przerażeniu oniemiałych ze zdumienia nauczycieli. Jak to? Odszedł najwybitniejszy człowiek naszych czasów, żegnany jękiem i rozpaczą przez wszystkich miłujących pokój ludzi na świecie. W kraju powszechna żałoba, czerwone flagi przybrane kirem opuszczone do połowy masztu. Na klapach marynarek czerwone wstążki z konturem głowy wodza a tu bezczelni gówniarze śmieją się jak nigdy nic. Na to wszechwładny kierownik szkoły pozwolić nie mógł.

Juliusz Wawrzynkowski, bo o nim mowa, był człowiekiem nietuzinkowym słusznie uważanym przez wolską społeczność za dużą osobowość o niekwestionowanym autorytecie. Związany z tą szkołą od przedwojnia wychowywał rodziców tej dzieciarni w duchu lojalności wobec sancyjnej władzy i był znany, jako zagorzały piłsudczyk. Po wojnie nie zmienił swojej propaństwowej orientacji a, że władza się zmieniła no to trudno, sama sobie winna. Tak czy inaczej wzorowy niegdyś piłsudczyk zmienił się w nie mniej wzorowego stalinowca. Dawne ideały, jako zupełnie nieprzydatne porzucił bez żalu, ot człowiek praktyczny do bólu. Nie ma się o dziwić tej przemianie, bo tak właśnie zachowuje się zdecydowana większość populacji ludzkiej. Niewielka mniejszość niezmienną poglądów składa się po połowie z bohaterów i głupców, pół na pół. Pan Juliusz o rzadkim imieniu i niepospolitym nazwisku na pewno nie pochodził z plebsu. Mieszkał z żoną Cecylią nauczycielką języka rosyjskiego świetnie posługującą się tym pięknym, śpiewnym językiem w służbowym mieszkaniu znajdującym się w części budynku starej szkoły pamiętającej czasy nauczyciela Kędzierskiego. Szkołę wybudowano na niewielkim pagórku w miejscu, gdzie kilkaset lat wcześniej stał zbór ariański ufundowany przez Krzysztoporskich obok zachodniej bramy prowadzącej do ich magnackiej posiadłości. W dniu 1 września 1900 roku zainaugurował tu pierwszy rok szkolny nauczyciel przeniesiony do nowego lokum ze szkółki we wsi Wygoda. Budynek był parterowy z dachem stromym krytym dachówką. Od frontu miał dwie izby lekcyjne przedzielone sienią. Do mieszkania nauczyciela wiodło odrębne wejście z podwórka na zapleczu szkoły. Podwórko zajmowało niewielką przestrzeń na wysokiej skarpie zabezpieczonej od zachodu murem oporowym ze schodkami prowadzącymi na niższy poziom. Obok zejścia wystawała z ziemi betonowa cembrowina głębokiej studni z kołowrotem, blaszanym wiadrem do czerpania wody na końcu długiego łańcucha. Podwóreczko zamykały od południa: obórka dla krowy i drobiu, stodoła i szkolne ustępy. Za stodołą na części wysokiej skarpy przylegającej do murów obronnych dawnej siedziby Krzysztoporskich pani Cecylia uprawiała ogródek a pan Juliusz ustawił kilka pszczelich uli. Do połowy dwudziestego wieku państwo zapewniało nauczycielom prowadzącym szkoły wiejskie mieszkanie, zabudowania gospodarcze i kawałek ziemi, bo samej, niewielkiej, nauczycielskiej pensji nie zdołałby utrzymać rodziny. Kierownik szkoły od lat zasiedziały na państwowej posadzie był, więc prawdziwym panem na włościach i urzędzie a jego autorytet pozostawał we wsi niezachwiany. Gniew kierownika mógł stać się bezpośrednią przyczyną bolesnych lekcji wychowania dla szkolnych żartownisiów, którą mogli otrzymać od rodziców w domu bez względu, z jakiej przyczyny nauczyciel się na nich rozsierdził. Na ogół tak bywało, że rodzice kary wymierzonej rozbrykanemu uczniowi, ale raczej dokładali swoją za wstyd przed ludźmi. Wieść o śmierci Stalina podziałała na mieszkańców Woli jak uderzenie obuchem w głowę. Nieważne czy ktoś go wielbił, czy przeklinał nie pozostawał obojętny wobec tej niesamowitej wieści. Bowiem od dawna wszyscy byli prawie przeświadczeni, że wódz jest wszechmocny a może nawet wieczny. Takie były skutki dziesięcioletniej indokrynacji przez natrętą i ogłupiającą propagandę. Na dźwięk jego nazwiska trwoga przenikała serca wielu ludzi, bowiem stalinizm był fundamentem władzy a strach najważniejszym instrumentem jej sprawowania. Słowo Stalin znaczyło to samo, co strach za życia dyktatora. Ten strach po jego zaskakującej śmierci nadal zamykał ludziom usta z powodu trudnej do przewidzenia przyszłości.

Z początkiem marca przyszło nieoczekiwane raczej ocieplenie. Biały puch szybko zmienił się w brudną, topniejącą breję. Ludzie brodzili w mokrej i zimnej mazi niczym bociany w płytkiej wodzie wiosennego rozlewiska. Po sensacyjnej wieści z Moskwy ludzie bali się własnego cienia. Nie zbierali się w grupki jak dawniej, żeby skomentować najważniejsze wieści z kraju i ze świata. Jeśli nawet ktoś kogoś zagadnął na rozbabranej wiejskiej ulicy to wcześniej rozejrzał się dookoła czy aby ktoś o podejrzanym wyglądzie nie nadstawia ucha. Takie zachowanie było jak najbardziej uprawnione z powodu wysługującej się władzom całej armii szpiclów i donosicieli. W tych dniach niepewności jutro odwiedzał na wraz wczesnym, marcowym wieczorem wuj Marcin Banaszczyk.

- Zrastwujcie – zawołał ze śmiechem jak to miał w zwyczaju na progu drzwi.

Słyszałeś Alek! Stalin kaput – zwrócił się do naszego ojca tonem zdradzającym żwiotny humor i doskonałe samopoczucie.

- Siadaj wuju i nie krzycz tak głośno, bo Feja za oknem podsłuchuje – powiedział ojciec i podsunął mu jedno z tych krzesel, które z powodu zdekompletowania używane były w kuchni.

- Alek już po Burku – kontynuował wuj z właściwą mu swadą nie zważając na ostrzeżenie.

Marcin Banaszczyk uchodził słusznie we Woli za mądrego człowieka. Po rezygnacji Stefana Motyki wieś wybrała go sołtysem przez akłamację. Pełnił tę funkcję do późnej starości, bo nikt nie odważył się stanąć z nim w szranki a było, z czego wybierać wśród mieszkańców siedemdziesięciu zagród rolniczych.

Marcin był człowiekiem w świecie bywałym, uczestnikiem dwóch wojen. Nie obce mu były błotniste okopy, ryk armat i świst kul. Od czasu bolszewickiej napaści na Polskę żywił nieukrywaną i nieuleczalną niechęć do radzieckiego państwa, które całkiem słusznie uważał za zbrodnicze. Napaść Hitlera na Sowiec ucieszyła, jako zwiastun wzajemnego wyniszczenia się obu wrogów Polski. Wierzył święcie, że to bolszewicy a nie Niemcy wymordowali w Katyniu polskich oficerów. To przekonanie potwierdzały wieści z radiowego nasłuchu zagłuszanych przez komunistów zachodnich, polskojęzycznych stacji radiowych, które utwierdzały go, że w Rosji rządzi banda zbrodniarzy a Stalin jest hersztem tej bandy.

- O! Antek idzie – nagle ucieszył się wuj Marcin znany z tego, że był niepoprawnym kpiarzem a Antoniego Szczepanika upatrzył sobie, jako chłopca do bicia i przy każdej okazji chłostał go bezlitosną, zjadliwą kpina, parodiując przy okazji jego sposób mówienia, Antoni bronił się jak mógł ripostując niekiedy z powodzeniem zaczepki Marcina, cóż mógł jednak biedny poradzić skoro prześladowca miał dar szybkiego, pomyślunku

i wymowy, których Antoniemu wyraźnie brakowało. Antoni właśnie otworzył drzwi i stał na progu kuchni w grubych, wełnianych skarpetach, zostawiwszy jak wszyscy trepy w sieni.

- Coś ty Antek taki ponury żałobę jakąś masz czy co? – pytał wuj Marcin, a z jego twarzy nie zniknął sardoniczny uśmiech. Może ty oplakujesz generalissimusa – szydził dalej wuj.

Takie było właśnie rutynowe zachowanie wuja Marcina. Przychodził najwcześniej być może wieczorny obrządek zwierząt zastawiwszy w całości zonie Antoninie nazywanej w rodzinie po prostu Antośką. O Szczepaniku też mówiono, że większością zajęć gospodarskich obciążył syna Józka i nieletnie córki. Antoni przychodził później od Marcina, być może po wczesnej kolacji. Zaatakowany z marszu odcinał się jak potrafił, z czego wychodziła kłótnia na sześć fajerek, szczególnie wtedy, kiedy sobie wypominali różne gospodarskie wpadki i zaniedbania.

_Antek jak tam twoje krowy? Podobno do dojenia trzeba je kłaść na plecach, - żeby zobaczyć wymiona – szydził dalej Marcin.

Antek aż poczerwieniał ze złości i natychmiast odparował cios.

- Ty za to konia głodem zamorzyłeś – mówił nie bez satysfakcji.

Śmiechu z tych kłótni było, co niemiara, bo Banaszczyk dość czysto mówił rzadko jakieś słowo z miejscowej gwary wtrącając a Antoni próbował go naśladować mimo ewidentnego braku dykcji i

zniekształcaniu niektórych słów przez zmiękczenie wymowy. Wyraz szczupak zmiękczał na ściupak. Nikt nie znosi dobrze żartów z siebie a Antoni był szczególnie wrażliwy na punkcie swoich wad i łatwo się obrażał. Dlatego nasz ojciec wkraczał do akcji powstrzymując wuja od dalszych, niemiłych Antoniemu żartów. Po zdecydowanej interwencji Albina, z którym liczyli się nawet znacznie starsi od niego wujowie wracała. Zgoda i harmonia oczyszczająca pole do wspólnego politykowania. Nie było to zajęcie bezpieczne. Nad czystością obywatelskich sumień czuwał wszechmocny i wszechobecny Urząd Bezpieczeństwa. Dyspozycyjne wobec dyktatury sądy, rzekomo niezawisłe skazywały na pięcioletnie wyroki za opowiadanie kawałów ośmieszających władze. Sam pobyt w więzieniu wyniszczający pod każdym względem nie był wcale najgorszą represją ze strony stalinowskiej dyktatury. O wiele gorszy był pobyt w areszcie śledczym, gdzie zwyrodniali oprawcy biciem i innymi bardziej wyrafinowanymi metodami zadawania bólu zmuszali do samooskarżania się Bogu ducha winnych ludzi. Wydawać by się mogło, że pod takim jarzmem nie mogły się zachować miejsca, gdzie kultywowano takie wartości jak tożsamość narodowa, religijność, honor i poszanowanie prywatnej własności odróżniające porządnego człowieka od sprzedajnego peperowca i szpicla krążącego pod oknami domów po zapadnięciu ciemności. A jednak istniały z dala od sfery publicznej w domowych zaciszach. Wiele było takich domów. Taki był nasz dom, gdzie bez obawy przed denuncjacją całymi latami spotykali się spokrewnieni ze sobą Motykwowie, Banaszcykowie i Szczepanikowie.

Wysokie kary za rozpowszechnianie dowcipów i anegdot ośmieszających ludową władzę nie były całkiem skuteczne. Kawały często dosadne, szeptane z ucha do ucha pozwalały odreagować strach. Rozśmieszały ludzi a grozę dyktatury sprowadzały do poziomu groteski. Pewien człowiek tak serdecznie nienawidził ukochanego wodza, że postanowił się zemścić i zrobił to w niebanalny sposób. Nauczył swoją papugę fraz zniesławiających okrutnego satrapę. Monolog przyswojony sobie przez zdolnego ptaka kończył się zawołaniem: Żeby Stalin zdechł! Sąsiedzi i znajomi podziwiali talent egzotycznego ptaka i odwagę jego nauczyciela do czasu aż jakiś szpicel powiadomił o wszystkim miejscowy Urząd Bezpieczeństwa. Zbulwersowania ubowcy postanowili złożyć dowcipnisiowi niezapowiedaną wizytę. Właściciel recytującego ptaka w jakiś dziwny sposób wyczuł pismo nosem. Nie mógł pozbyć się ptaka, bo w ten sposób utwierdziłby ubowców w przekonaniu, że szkaluje władzę. Udał się, więc do miejscowego proboszcza posiadającego identyczną arę z prośbą o tymczasową zamianę ptaków. Ksiądz nie mógł się nie zgodzić, jeśli mógł uratować człowieka przed więzieniem. Oczekiwany nalot funkcjonariuszy niechybnie nastąpił. Kilku ubowców nie kryło zadowolenia na widok kolorowej papugi. Sukces w postaci aresztowania wroga ludu mieli w zasięgu ręki. Tak im się przynajmniej wydawało do czasu, gdy zorientowali się, że brak im koronnego dowodu. Papuga nie chciała mówić. Zdesperowani ubowcy postanowili pomóc ptakowi skandując zdanie przekazane przez donosiciela. – Żeby Stalin zdechł! Żeby Stalin zdechł! – krzyczeli. A na to papuga: Słuchaj Jezu jak cię błaga lud. Wydaje się jednak, że Opatrzność nie miała nic wspólnego ze śmiercią dyktatora, która nastąpiła naturalną kolejną rzeczą.

Na Kremlu budził się dzień. Marcowy, jak to w Moskwie mroźny poranek. Dżugaszwili leżał bez ruchu na podłodze. Wyglądało na to, że w nocy zwiłkł się z ciepłego pieca szukając pomocy po nagłym wylewie krwi do mózgu. Daleko nie zaszedł. Przerażony niespodziewanym widokiem posługacz zaalarmował strażę. Posłano po członków Politbiura. Nieprzytomnego wodza nikt nie próbował ratować a jeszcze wczoraj bał się go się cały świat. Uwielbiały go miliony ludzi a on twierdził, że owszem śmierć jednego człowieka jest tragedią, ale jeśli umiera milion ludzi oznacza to jest wielkość statystyczną. Leżał na podłodze skurczony, bezsilny i bezradny. Bardziej niż władcę połowy świata przypominał małego, Soso ze szkolnych czytanek. Biuro Polityczne Partii Związku Radzieckiego długo zwlekało z wydaniem komunikatu o jego śmierci, jakby Chruszczow, Mołotow, Malenkow i inni obawiali się, że Józef Wissarionowicz Stalin jeszcze nie całkiem umarł. Może powstać i kazać ich zgładzić jak miliony innych ludzi.

Przez barierę niesamowitych zgrzytów i pisków z dużego, drewnianego pudła w kolorze mahoniu wydobywał się przez poczerniałe, sfatygowane płótno głos spikera z Monachium. Tu radio Wojna Europa. Słyszycie głos Wolnej Polski. Przez chwilę fala zaczęła błędzić gdzieś w eterze ustępując przeraźliwemu wyciu sfabrykowanemu na rozkaz władzy ludowej, żeby nie wystawiać na pokusę słuchania wieści z wolnego świata ludu pracującego miast i wsi. Nie trwało to jednak długo, bo z potoku świstów, buczenia i wycia, znowu zaczął wydobywać się daleki głos a kiedy zaczął się nasilać jeden ze słuchaczy delikatnie odsuwał rąbek zasłonki w oknie i próbował wypatrzeć w przyczajonego w ciemnościach szpiega. – Jak już donosiliśmy 5 marca zmarł na Kremlu przywódca państwa sowieckiego. Wczoraj milczenie w tej sprawie przerwało Biuro Polityczne KPZR wydając specjalny komunikat – gość z tajemniczego pudła mówił teraz wyraźnie, ale cichł ze słowa na słowo aż całkiem zaniknął w przerażającym jazgocie. Nic więcej nie można było usłyszeć, więc ojciec wyłączył radio, także ze względu na dziadka Wojciech, który nie znosił radiowego jazgotu w domu. Kiedy radio ucichło doszło do wymiany poglądów i komentarzy. Na początku dyskusja toczyła się na pół gwizdka, ale z czasem spory zaczynały nabierać ostrości a adwersarze stali się coraz bardziej nieustępliwi. Jak zwykle największym optymistą, co do rychłego upadku komunizmu był wuj Marcin a zdecydowanym pesymistą Antoni Szczepanik. Ten ostatni nie tyle z przekonania, co z konieczności przeciwstawienia się Banaszczykowi, z którym był w nieustającej konfrontacji. W tej fazie polemiki ja zawsze skutecznie wkraczał ojciec, żeby nie dopuścić do prawdziwej kłótni. Niezależnie od toczonych sporów wszyscy politycy tego rodzinnego politykowania pozostawali niezmiennie zagorzałymi przeciwnikami bolszewizmu. Służących dyktaturze Polaków nazywali peperowcami i zaprzańcami.

Biernymi świadkami domowych lekcji polityki były dzieci od małości przyuczane do zachowania w tajemnicy radiowego nasłuchu tak zwanych dywersyjnych rozgłośni radiowych nadających informacje zza żelaznej kurtyny i dyskusji, po nich następujących od wieku będących specyficzną formą aktywności politycznej Polaków. Dla dzieci z takich domów już od wczesnego dzieciństwa świat nie był jednoznaczny. Inaczej wyglądał przedstawiany przez szkołę, gdzie obowiązywała komunistyczna indoktrynacja od świata opisywanego w rodzinnym do z zupełnie innych pozycji światopoglądowych i moralnych. Autorytet szkoły i nauczycieli najczęściej był bezsilny wobec autorytetu i siły duchowej wspomaganego przez religię rodziny. Zasłuchany w opowiadania wuja Marcina przechodziłem pierwszy kurs politykowania. Znałem pospolite wtedy porzekadło, które brzmiało: Nie mów wole, co się dzieje w szkole. Zachowałem dla siebie szkolne przygody wiedząc, że mój udział w wybuchu wesołości na szkolnym apelu na pewno nie uszedłby mi na sucho. Rodzice, bowiem żądali ode mnie bezwzględnie szacunku dla nauczycieli mimo tego, że mówili nam nieprawdę. Tłumaczyli nam, że oni tak muszą mówić. Tym razem mi się upiekło, bo kierownik jak się wydaje w obawie o własną skórę wyciszył sprawę karygodnego zachowania swoich podopiecznych na akademii poświęconej wodzowi i więcej do tego nie wracał. Popiersie Towarzysza Stalina stało tam gdzie zawsze aż do jesieni 1956 roku, czyli do polskiego Października, pokłosa XX zjazdu KPZR, gdzie odczytano słynny referat Chruszczowa o kulcie jednostki. W dniu, kiedy Towarzysz Wiesław przemówił do ludu Warszawy kierownik dał ciche przyzwolenie na usunięcie gipsowego biustu wodza. Egzekucja odbyła się z moim udziałem. Po zaciągnięciu pętli sznura na głowie generalissimusa kilku chłopaków dyrygowanych energicznie przez Tadka Pigularza wciągnęło wodza na ciemny strych szkoły przez otwór w suficie na korytarzu pierwszego piętra. Całość operacji nadzorowała najmłodsza w szkole nauczycielka ucząca wychowania fizycznego Dorota Biernacka. Tak kończą bohaterowie i ich pomniki niemające społecznej akceptacji.

Wyścig

Fama majowego wyścigu uderzała do głów w towarzystwie woni ciepłej, wilgotnej gleby w ogródkach. Z zapachem młodych, rozwijających się listków ukrytych w powodzi kwiatów na drzewach jabłoni. Ta fama wzmagala się jeszcze, gdy Witold Dobrowolski podniesionym, budzącym emocje głosem

donosił na falach eteru o wydarzeniach na bieżni chorzowskiego stadionu, barwnie opisując dramaturgię końcowych metrów etapu. Głos sprawozdawcy dobiegał z radia stojącego w otwartym oknie pożydowskiej, parterowej oficyny, w której mieszkał Stanisław Jagieło. Niósł się wzdłuż brukowanej ścieżki biegnącej do ulicy Wesołej, między drewnianą ścianą należącego do Antoniego Szczepanika domu, pieszczotliwie nazywanego Lipcówką, a ruiną murowanego budynku po Staniku, aż na ulicę Kościuszki pokrytą lekko podeschniętym, wiosennym błotem. Po obu stronach ścieżki rosły jakieś kwiatki, skromne, ale zadbane, wolne od chwastów i systematycznie podlewane wodą. Dziw bierze, że mieszkający tam człowiek znajdował czas na pielęgnację ogródka, skoro od rana do późnego wieczora uwijał się zwawo, a to w warsztacie, a to na podwórku, ubrany w lśniący, wypolerowany smarami i olejami kombinezon. Niewysoki, tęgawy z czarną klapką zakrywającą pusty oczodół, był zupełnym oryginałem nie podobnym do nikogo na wsi z wyglądu i obyczaju. Między jego warsztatem, a tym zagraconym różnym żelastwem podwórkiem krzewiła się myśl techniczna i biło serce miejscowej mechaniki. Pan Stanisław był głównym animatorem w tym żywym teatrze, przez który codziennie przewijał się tłumek interesantów, przynoszących do naprawy wszelkie wytwory cywilizacji przemysłowej, które z rozmaitych przyczyn przestały służyć celom, do których były przeznaczone. Pojawiały się tu wyglądające na teatralne rekwizyty stare, dziurawe garnki do zalutowania, wszelki sprzęt mechaniczny w tym najprzeróżniejsze pojazdy na ogół pochodzące z demobilu. Można było tu zaszkląć wybitą szybę, naprawić radio i zegarek. Właśnie radio stojące w otwartym oknie, nastawione na cały regulator było nieodłącznym elementem składającym się na swoisty koloryt tego miejsca. Niewiele było w Woli radiodbiorników, dlatego nikt się nie dziwił, jeśli w zasięgu słyszalności radia Jagieły zbierały się mniejsze i większe grupki ludzi z zapartym tchem słuchających meldunków z trasy Wyścigu, lotnych finiszów a szczególnie z końcowej walki na bieżniach stadionów wypełnionych po brzegi dziesiątkami tysięcy ludzi. Na falach eteru płynął do zafascynowanych radiosłuchaczy znany chyba wszystkim Polakom głos reaktora Witolda Dobrowolskiego i jego sakramentalne, podszyte nieudawanym żalem słowa. - Jaka szkoda, że państwo nie mogą tego zobaczyć? Niestety w czasach poprzedzających epokę elektronicznych obrazków Wyścig można było obejrzeć tylko na żywo, więc, żeby zaspokoić ciekawość trzeba się było wybrać na trasę przejazdu kolarzy. Przez dziesiątki lat była to ta sama droga z Katowic do Warszawy. Zmieniał się tylko, co rok kierunek jazdy. Organizatorzy trzymali się tej jednej trasy z powodu marnej, jakości podrzędnych dróg, które dla rowerów o delikatnych kołach wyposażonych w równie delikatne opony były całkiem nieprzejezdne. Nie było problemu z uczestnictwem w tym wielkim nie tylko sportowym święcie, bo udział w nim był zgodny z doktryną polityczną partii i rządu. Ateistyczne władze chciałyby nawet nieba przychylić wszystkim biorącym udział w tej imprezie, żeby tylko zadziwić kapitalistyczny, zgniły Zachód sportową rangą zawodów i wielką, niespotykaną nigdzie popularnością w społeczeństwie.

Transmisja z Katowic dobiegła już końca, ale ludzie nie rozchodzili się jeszcze dyskutując o wynikach tyle, co zakończonego etapu i o jutrzejszej wyprawie na Longinówkę, gdzie Wola miała przydzielony odcinek drogi E-16 do udekorowania i utworzenia szpaleru widzów po jednej i drugiej stronie. Miał tam być prawdziwy tłum ludzi witających kolarzy, uczestniczących w Wyścigu i wiwatujących na ich cześć. Wyścig rozgrywany corocznie na trasie między Warszawą, Berlinem a Pragą organizowany był oficjalnie dla zmanifestowania poparcia ludzi pracy miast i wsi dla idei pokoju światowego. Mało było w Woli takich, którzy z tych sloganów o miłujących pokój narodach Związku Radzieckiego i bratnich krajów demokracji ludowej nie śmialiby się do rozpuku. Marcin Banaszczyk komentował tę propagandę na swój sposób mówiąc, że Burek, czyli Ruski wyciąga na Zachód rękę z gołąbkami pokoju a w drugiej, ukrytej trzyma nóż przygotowany do wbicia w plecy przeciwnikowi w sprzyjającej temu chwili. Nie przeszkadzało to jednak ludziom w wyjątkiem kilku totalnych malkontentów cieszyć się Wyścigiem i darzyć wielką życzliwością jadących w nim zawodników. Oczywiście

największą życzliwością obdarzano reprezentantów Polski. Następnego dnia tłumy waliły na trasę przejazdu kolarzy. Na drogach prowadzących przez Siomki, Krzyżanów i Blok Milejowski panował niecodzienny ruch. Najliczniejszą grupą podążającą witać kolarzy byli oczywiście rowerzyści. Wprawdzie nie każdą rodzinę stać było na rower, ale i tak był dominującym środkiem lokomocji. Każdy, kto posiadał rower, albo sobie od kogoś pożyczył pedałował, co sił w nogach po ścieżkach wijących się obrzeżami szutrowych dróg w kierunku jedynej w okolicy asfaltowej wstążki łączącej Śląsk z Łodzią i Warszawą. Ach, co to były za rowery. Wśród dziesiątek wysłużonych, ponemieckich gratów trafił się może jeden taki, który niedawno opuścił fabrykę, część nadawała się jeszcze, jako eksponaty do muzeum techniki, a reszta była jedną, wielką kupą złomu. Awaryjność rowerów mocno się dawała we znaki użytkownikom. Najczęściej wulkanizowali ogumienie kół, skracali wyciągnięte do granic możliwości łańcuchy i wymieniali zużyte części układu napędowo-hamulcowego, nie mówiąc już o szprychach i obręczach. Wcale nie rzadko zdarzało się widzieć rowerzystów naprawiających swoje stalowe rumaki w rowach przy poboczach szos i wiejskich drózek. Nie wszystkie jednak te starocie były beznadziejnymi rzękami. Zdarzało się, że dwudziestoletni rower utrzymywany był w idealnym stanie technicznym a walorami użytkowymi przewyższał produkty powojennego, polskiego przemysłu rowerowego typu Pafaro. Miało to miejsce wtedy, kiedy właściciel jednoślada wykazywał bezgraniczne zamiłowanie do mechaniki poparte benedyktyńską cierpliwością. Takim pasjonatem był Antoni Lasota robotnik z fabryki chemicznej mieszkają w domku z ozdobnych bloków betonowych przy ulicy Kościuszki wis a wis Warszawianki. Jego rower prezentował się efektownie, na tle tej całej masy starych, zaniedbanych gratów jak wzięty z innej bajki. Imponował nie tylko sprawnością techniczną, wyregulowany, co najmniej jak radziecki zegarek. Zadziwiał, bo nie było na nim ani centymetra kwadratowego lakieru. Pan Antoni nie poszedł śladem innych chcących przydać swoim pojazdom nieco estetyki przez własnoręczne malowanie. Bo efekt takich zabiegów był marny z powodu niskiej, jakości dostępnych w sklepach lakierów, które się miały nijak do powłok fabrycznie nakładanych. Postanowił, więc, że jego rower, ku uciesze dwunastoletniego syna Marka będzie wyglądał jak srebrzysty ptak. Łatwo powiedzieć, ale zrobić trudno. Na przekór tej starej prawdzie Lasota po wielodniowej, żmudnej a uporczywej pracy osiągnął cel, którym zadziwił wieś, a jeszcze większy wzbudził podziw trwałością nowej, niebanalnej „szaty” swojego jednoślada, bo udawało mu się utrzymać rower bez śladu rdzy przez całe lata a wiadomo, że żelazo ulega korozji niesłychanie łatwo.

Rowerzyści jechali witać kolarzy spontanicznie, ba wręcz żywiołowo. Trzeba jednak pamiętać, że ludowa władza nigdy żadnych imprez i zgromadzeń na żywioł nie puszczała. Cieszyła partyjnych wielka popularność Wyścigu, lecz starali się nie wypuszczać z rąk inicjatywy propagując ich zdaniem bardziej słuszne, zbiorowe formy uczestnictwa w majowej imprezie. Zorganizowane grupy były preferowane rzekomo ze względu na ich socjalistyczny charakter, a tak naprawdę chodziło o zachowanie pełnej kontroli nad tłumem przez służby specjalne, które czuwały, żeby skupisko ludzkie nie wymknęło się z ryz i wędzideł nałożonych przez komunistyczny reżym. Całą oprawą Wyścigu kierował Komitet Powiatowy PZPR, którego ramieniem wykonawczym w tym przypadku był Wydział Propagandy. Decydenci z tego wydziału ustalili, że Wola ze względu na potencjał ludnościowy i logistyczny wystawi aż trzy formacje obrońców pokoju światowego. Jedną z nich była stuosobowa grupa uczniów pod opieką nauczycieli uzbrojona we flagi polskie i radzieckie, papierowe chorągiewki na patykach, wycięte z brystolu gołąbki pokoju i okolicznościowy transparent. Chorągiewki były w barwach krajów, które wystawiły na Wyścig swoje, narodowe reprezentacje. Grupa szkolna dojechała do Longinówki samochodem ciężarowym star 20 wyposażonym w drewniane ławki ustawione na drewnianej skrzyni ładunkowej. Samochodu bezpłatnie użyczyły Wolskie Zakłady Przemysłu Barwników. Dyrekcja fabryki wystawiała też własną reprezentację złożoną głównie z pracowników biura, którzy wcześniej niż zazwyczaj mieli zakończyć pracę. Wśród robotników też nie brakowało chętnych do obejrzenia zawodów bądź, co bądź światowej

rangi. Między zdążającymi na kolarski szlak rowerzystami oryginalnie prezentowała się ekipa Gminnej Spółdzielni, zasiadająca na konnej platformie zaprzężonej w dwa bułane konie. Były to zwierzęta rasy nieco pogrubej w porównaniu do smukłych mieszańców z miejscowych chłopskich gospodarstw. Zimnokrwiste bułanki nie mogły dorównać rączym rumakom w szybkości i zwrotności to jednak dysponowały większą siłą pociągową oraz były bardziej wytrzymałe na trudy podróży, zaprzęgane do ciężkiej platformy ładunkowej człapały niespiesznie rozwożąc po sklepach te towary, które spółdzielnia produkowała, czyli pieczywo, mięso i wędliny. Zdarzało im się sporadycznie wozić także inne towary, na co dzień dowożone z magazynów PZGS-u w Piotrkowie samochodami spółdzielczego transportu wiejskiego. Te sympatyczne konie znali wszyscy ludzie w okolicy i lubili za niezawodną służbę. Powożone przez doświadczonego furmana Jana Raczyńskiego zawsze na czas docierały do celu bez względu na porę roku i pogodę. Pracowite zwierzęta miały swój azyl w niewielkiej obórcie wynajętej od Jerzego Amrozika stojącej na posesji naprzeciw kościoła. Zdarzało się, że ten słynny w okolicy zaprzęg był w szczególnych okolicznościach wykorzystywany do prowadzenia handlu obwoźnego. Platforma wyładowana towarami służącymi do pokrzepienia ducha i ciała pojawiała się na każdej oficjalnej imprezie, o ile odbywała się w zasięgu działania wolskiej spółdzielni i posiadała błogosławieństwo partyjnych władz. Nie do pomyslenia byłoby, żeby zabrakło kultowej platformy kolarskim szlaku. Nic, zatem dziwnego, że bułanki po skróconym objeździe sklepów lekko zdopingowane batem ruszyły żwawo w stronę Siomek, z pobrzękiwaniem butelek na słynnym bruku łączącym Folwark z Bogdaszką. Na platformie wśród worków i skrzyń znalazło się też miejsce dla kilku pasażerów. Był między nimi magazynier zbożowy Albin Dajcz i ja jego jedenastoletni syn, żegnany z troską przez mamę i babcię ubolewające nad moim uporem w dążeniu do tego wyjazdu i rzekomą beztróską ojca, który zgodził się zabrać mnie ze sobą. Obawy wrażliwych na bezpieczeństwo kobiet wynikały z zagrożenia ze strony samochodów jadących asfaltową drogą z zawrotną prędkością 50 km/godz. Babcia nie bardzo przekonana obietnicą ojca, że nie spuści ze mnie oka ukradkiem ocierała łzy. Żał mi było babci, ale perspektywa zobaczenia kawałka innego świata sprawiła, że z radością ulokowałem się na platformie, jako pełnoprawny pasażer, a koledzy z ościennych podwórek patrzyli na mnie z zazdrością. Zaprzęg ruszył, a wtedy jeden z chłopaków usiłował doskoczyć i zabrać się na gapę, ale w porę zrezygnował na widok groźnie machającego batem woźnicy. Skoro tylko dojechaliśmy na miejsce natychmiast ustawiała się do obwoźnego straganu kolejka miłośników kolarstwa, po produkty wzmacniające ducha i ciało, czyli po wódkę i zakąskę. Sprzedawano głównie najtańszą wódkę, czystą z czerwoną kartką. Była jeszcze wyborowa nazywana białą główką, ta schodziła tylko wtedy, gdy czystej zabrakło. Wódek gatunkowych, czyli kolorowych, najczęściej słodkich nie było i o nie nikt nie pytał, gdyż nie honor było mężczyźni raczyć się osłodzonym alkoholem, przeznaczonym wyłącznie dla kobiet. Damską wódkę kupowano w niewielkich ilościach na specjalne okazje, bo kobiety piły raczej symbolicznie maczając wargi w trunku, więc jeden kieliszek wystarczał im w towarzystwie na cały wieczór. Nie praktykowano też picia wódki bez zakąski i przepitki. Miano przepitki, albo popitki przysługiwało wszelkim napojom łagodzącym podrażnioną alkoholem błonę śluzową przełyku. Ostatecznie mogłaby to być zwykła woda lub zimna herbata przyniesiona w butelce z domu. Nie honor jednak było popijać napojem niegazowanym tak, więc picie oranżady, lemoniady czy zwykłej wody gazowanej nazywanej sodową należało do rytuału alkoholowych biesiad. Nieważne, że ta kultowa przepitka miała nierzadko nieszczelne zamknięcia, była lepka i zwietrzała. Oranżada musiała być i już. Piwo nie miało szczególnego wzięcia, bo było gorzkie i niesmaczne, Na zawsze pozostanie tajemnicą, w jaki sposób udało się browarom wyprodukować tak obrzydliwą lurę z dobrej, jakości surowców, przy niemałym przecieży nakładzie pracy. Dziesięć lat psucia drobnego przemysłu i handlu i usług przy pomocy niewydolnego, socjalistycznego modelu gospodarczego wystarczyło aż nadto, żeby doprowadzić jakość produktów do poziomu, który daleko odbiegał od jakichkolwiek standardów przyzwoitości. Niestety dotyczyło to też i to szczególnie wędlin i wyrobów mięsnych. Korupcja i niedbalstwo zniszczyły etos zawodowy rzeźników w zatrważającym

tempie. Lud na to patrzył i przeklinał nie tyle rzeźników, co komunę. Powszechny był pogląd, że największą część winy za nadpsutą serdelową, gliniastą podgardlaną czy chudą kaszankę ponoszą peperowcy i ich moskiewscy mocodawcy. Sporo prawdy w tym było, bowiem odrzucono wypróbowane receptury wprowadzając w to miejsce nowe, preferujące wyroby o obniżonej wartości ze względu na braki mięsa wysokiej, jakości wywożonego masowo za granicę. Decydujący wpływ na marną, jakość wyrobów masarskich mieli jednak zatrudnieni w spółdzielczych masarniach rzeźnicy, którzy bez litości paprali i psuli wytwarzane przez siebie wyroby. Kierownik zajmujący pozycję dawnego właściciela warsztaty masarskiego nie był zainteresowany materialnie dobrą, jakością produktów, a pracownicy nie czując presji właściciela szybko odwykli od rzetelnej roboty. Natomiast wszyscy z kręgu osób mających dostęp do produkcji wędliniarskiej chcieli wyciągnąć coś ekstra dla siebie, dlatego zmieniali receptury gorsze na jeszcze gorsze, co pozwalało zaoszczędzić część lepszego jakościowego mięsa, do podziału między siebie i osoby uprawnione mocą nowych zwyczajów do nieodpłatnego zaopatrzenia. Głównym beneficjentem był prezes Petruzela, który tuż przed zakończeniem urzędowania udawał się na kontrolę do mieszczącej się w podwórku masarni z teczką skórzaną okazałych rozmiarów. Zaraz po wejściu kładł sławną teczkę gdzieś na widoku i dokonywał krótkiego przeglądu pomieszczeń produkcyjnych. Po zakończeniu inspekcji teczkę zabierał. Uważni obserwatorzy życia społecznego w Woli widzieli, jak pod ciężarem teckki wydłużyła się ręka prezesa idącego na przystanek PKS-u. Takie to były czasy, że nawet prezesi jeździli do pracy autobusem, więc znajdowali się częściej pod obserwacją i presją społeczną. Wprawdzie socjalizm nieźle już zapuścił korzenie, ale w mentalności ludzkiej niewiele się zmieniło od czasów okupacji. Wtedy podkradanie dóbr materialnych należących do III Rzeszy nie było czymś wstydliwym, a nawet uchodziło za czyn patriotyczny. Tak nadal pozostało z tym, że okradano komunistyczne państwo polskie.

Podczas zaimprovizowanych pogawędek przy kieliszku rozmawiano przede wszystkim o polityce. O tej wielkiej, światowej i o tej bliskiej, z gminnego majdanu. Dziesięć lat po wojnie wygasaly już skutki traumy z tamtych, mrocznych lat. Coraz rzadziej wspomniano okupacyjną gehennę, okrucieństwo okupantów, partyzancką legendę. Na majowym pikniku dominowały tematy sportowe, ale również te sprawy ja wszystkie inne wyrastały z politycznej tkanki. Na murawie rozłożono wszelkie dobra biesiadne w postaci napojów i zakąsek. Wśród nich królowała litrowa butelka z cienką szyjką oznaczona czerwoną etykietą z napisem: Wódka czysta, zwykła. Brązowy lak był zerwany z korka, a ten do połowy wyciągnięty z szyjki. Każdy z uczujących wyposażony był w szklanekę po musztardzie. Była to wyższa forma biesiadowania, bo na ogół w warunkach polowych zadawano się jedną szklanką, z której pili kolejno wszyscy. Zanim czysta zabulgotała nad musztardówką padło zasadnicze pytanie, które niczym kamyk w bucie uwierało niemal każdego obserwatora Wyścigu.

- Alek jak ty myślisz, czy nasi dadzą radę wygrać, chociaż jeden etap? – z szacunkiem zwrócił się do starszego kuzyna Stasiek Szczepanik.

Zanim ojciec zdążył nu odpowiedzieć włączył się do rozmowy leśniczy, Sierszeń. Leśniczy, człowiek stateczny i zrównoważony mieszkał na Wygodzie skąd ochraniał Jeżowski Las. Miał syna nieco ode mnie starszego o wyglądzie jakby z bajki o mchu i paproci. Ze względu na oryginalną, nietypową urodę dzieciarnia wołała na niego leśny duszek a przezwisko idealnie pasowało do fizjonomii przyszłego inżyniera. Ojciec chłopca znany był z bezkompromisowego antykomunizmu.

- To ty nie wiesz chłopcze, że naszym wygrać nie wolno nie tylko z Ruskimi, ale także z Niemcami Wschodnimi – z lekką irytacją w głosie powiedział.

- Nasi nie mogą wygrać, bo są słabi po zalewajce. Co innego Ruskie i Szkopy po kiełbasie z naszych świń – szydził Henryk Ałaszewski pracujący w GS-e, jako referent od skupu żywca.

W międzyczasie biesiadujący na trawie miłośnicy kolarstwa wychylili po pół szklanki czystej, zakąszając wyjątkowo smaczną kaszanką. Dla zaostrenia apetytu jedli też grzybki w occie i kiszone ogórki z weków pochodzących z domowych zapasów. Chwilę później, gdy zadziałała moc uwolniona z litrowej butelki opatrzonej znakiem Polskiego Monopolu Spirytusowego dyskusja weszła na wyższy pułap nabierając tempa i wigoru. Ciszę przed burzą wykorzystał ojciec.

- Słyszałem w biurze od kilku osób, że Ruscy przeszkadzają naszym na trasie i finiszach w niedozwolony sposób – powiedział.

- To prawda, wczoraj podobno była w peletonie okropna rozróżba. prawie regularna bitwa. Królak torował sobie drogę na finiszu za pomocą pompki rowerowej, bo Ruskie paskudnie zajeżdżali mu drogę a jeden to go nawet trzymał za siodełko.

- Tych, co wczoraj przeszkadzali Królakowi możemy dzisiaj łatwo rozpoznać po bandażach na głowach – włączył się do rozmowy Stasiek Szczepanik.

- Skąd ty o tym wiesz? Może Tuszyński opowiadał przez radio? – zapytał z ironią Stanisław Kulik.

- Bogdan Tuszyński widział wszystko, ale nie wolno mu przez radio mówić źle o zawodnikach radzieckich – dodał Szczepanik.

- Takie głupoty to mógł opowiadać tylko Ałaszewski – odpowiedział Kulik, widząc że Henryk odszedł na bok i nie może usłyszeć jego zaczepki.

Kulika z Ałaszewskim dzielił jakiś antagonizm, więc często się sprzeczcali. Kulik miał się za lepszego pracownika i nie szczędził Henrykowi złośliwych uwag. Swoje monologi kończył zawsze stwierdzeniem. Co dobre to ja, a co złe to Hałaszewski. Przekręcając brzmienie nazwiska Henryka Stanisław nawiązywał złośliwie do jego głośnego sposobu mówienia, często na granicy krzyku. Tym razem zakończył innym, słynnym powiedzeniem. - Jeszcze dzisiaj nic nie jadłem i mam ostatnie pięć złotych. Mówiąc te słowa Kulik nagle zreflektował się, że strzelił gafę, bo wszyscy widzieli, jak przed chwilą spałaszował sporych rozmiarów serdelka. Zanim skończył wrócił Ałaszewski mocno rozsierdzony, bo okazało się, że słyszał cały monolog swego adwersarza. Widząc, co się dzieje włączył się do rozmowy niezawodny mediator Albin Dajcz i szybko pogodził zwaśnionych kolegów.

- Dajmy spokój polityce, porozmawiajmy o kolarzach – namawiał Szczepanik.

- Pogadajmy o Hindusach, którzy jadą w turbanach na głowach i wcale nie chcą się ścigać. Onegdaj jechali sobie spacerowo 3 godziny za peletonem. Zanim dojechali do bufetu z żywnością nic tam już nie było, bo wszystko Ruskie zjedli – włączył się Sierszeń.

- Wiem, słyszałem, ale podobno turbaniarze mieli takie pragnienie, że zatrzymali się w Rozprzy przy budce z piwem – uzupełnił Stasiek Szczepanik.

- To chyba jakaś bujda na resorach – pozłościł się ojciec.

- Może tak a może nie! Na pewno w Wyścigu jedzie trzech braci Klabińskich, dwóch reprezentuje Francję w zespole polonijnym. a jeden wrócił do Polski i jedzie w naszej drużynie – włączył się Ałaszewski.

- To chyba wariat ten Klabiński. Jak mając zdrowy rozum można zamienić dobrobyt we Francji na biedę w komunistycznym jarzmie? – skomentował leśniczy Sierszeń rzekomą głupotę francuskiego kolarza zawodowego.

W żaden sposób koledzy ucztujący na majowej trawie nie mogli zmienić tematu rozmowy, bo Ruskie i polityka to była powracająca melodyjka, której trudno się pozbyć i sposób o niej zapomnieć.

Pod czujnym okiem kierownika Juliusza Wawrzyńkowskiego, Stanisławy Migdał, Barbary Drożdż i

Doroty Biernackiej, młodych wolskich nauczycielek uczniowska gromada oczekiwała niecierpliwie na przejazd kolarzy. Młodzież utworzyła szpaler po obu stronach szosy. Na rozgrzanym w słońcu asfalcie nic nie działało, jakby nie liczyć niedozwolonego przechodzenia z jednej na drugą stronę. Początkowy rozgardiasz ucichł, narastała powoli nuda i wtedy drgnęło coś w tłumie, na widok nadjeżdżających od Rozpry samochodów. Porządkowi nawoływali do odsunięcia się od drogi. Wreszcie szpalerem przejechał motocyklista. Na plecach wiózł tablicę z napisem: Pilot wyścigu. - Jada! Jada! – zawrzało wśród dzieciarni mocno zaciskającej dłonie na patykach chorągiewek. W niespełną minutę za pilotem pędziła, co sił w nogach kilkunastoosobowa czołówka wyścigu. Zafurkotały chorągiewki, zanim jednak na dobre zabrzmiały okrzyki i oklaski, unoszący się prawie nad rowerami zawodnicy przemknęli jak kolorowa smuga cienia.

- Ruski prowadzi! – powiedział ktoś z tłumu.

- Nieprawda! To był Polak Wilczewski – rozległo się kilka głosów pełnych patriotycznego oburzenia.

Pogłos emocji wśród młodzieży wywołanych prze przejazd czołówki dotarł do miejsc gdzie biesiadowali dorośli uczestnicy imprezy w uroku majowego przedpołudnia. Kto tylko mógł zerwał się na równe nogi. Z różnych zakamarków wybiegli, jakby nagle zbudzeni ludzie i rzucili się oglądać nadjeżdżający peleton. Zanim jednak zdołali znaleźć sobie miejsce przy samej jezdni zobaczyli tylko plecy szybko oddalających się kolarzy i nadjeżdżający autobus z napisem. Koniec wyścigu.

Dzień później sto tysięcy ludzi podziwiała na stadionie Dziesięciolecia w Warszawie efektowny sukces etapowy Stanisława Królaka, który rok później odniósł życiowy sukces i zwyciężył w całym Wyścigu Pokoju, Na największe sukcesy oraz rozgromienie Ruskich i owych wschodnich Niemców trzeba było czekać aż piętnaście lat, do czasów cudownych chłopców Henryka Łasaka.

Lasota idzie

Lasota skradał się jak partyzant. Krył się za pniami, potężnych, stuletnich jabłoni. Dzień był ponury, szary i przygniony jak to po św. Michale. Sad na całej długości przecięty był głębokim rowem odprowadzającym nadmiar wody z parkowych stawów. Tuż przed płotem oddzielającym ogród od wiejskiej ulicy, gdzie było kiedyś małe rozlewisko woda wpadała do podziemnej rury, żeby wydostać się po drugiej stronie szosy do dworskiego stawu. Nad rowem stały wysokie, pożółkłe kępy traw. Tam właśnie przycupnął najbardziej nieprzejednany z dawnych dworskich oganiaczy pilnujący teraz pegeerowskiego majątku. Z ukrycia obserwował ogromną kosztelę stojącą dostojnie jak samotna akacja na sawannie. Po konarach i gałęziach drzewa uwijała się gromada urwisów za niewielkimi, zielonymi jabłkami. Kogo tam nie było? Cała stara gwardia z Edkiem Makulskim, Ryśkiem Maciołem, Edkiem Warzyńskim i wszędobylskim Tadkiem Pigularzem na czele. Grupą młodszych i lżejszych dowodził wielki spryciarz Adam Błaszczyk nazywany Biku. Towarzyszył mu jak zawsze Adam Motyl ksywa Fruwak. Ten jak na motylka przystało fruwał sobie zwinnie po całej koronie drzewa. Dzielne chłopaki już wypchały państwowymi jabłkami kieszenie. Te rosnące na cienkich, niedostępnych gałęziach usiłowali mając się różnych sposobów strząsnąć na ziemię. Spieszył się mocno ta nadziemna brygada w obawie nadejściem ludzi mających pieczę nad pegeerowskim dobrem. Wśród oganiaczy największy respekt budził Lasota powszechnie nazywanym Kurdasem. Nie tylko, dlatego, że chodził z dubeltówką rzekomo nabitą solą, ale głównie z powodu wielkiej zawziętości, która wykazywał goniąc amatorów pegeerowskich plonów do upadłego. W działaniach młodocianych smakoszów słodkich koszteli nie było nic z improwizacji, Można nawet powiedzieć, że była w nich metoda. Wysoki na dwa metry płot z grubych sztachet był dla chłopaków w zasadzie nie do przejścia. Wyprawa po słodki runo zaczynała się od przygotowania tajnego wyłomu w ogrodzeniu. W tym celu należało usunąć gwóźdź przytwierdzający sztachetę do dolnego rygła. Odsuwana na bok deska powiększała szparę do wielkości umożliwiającej sforsowanie przez szczupłych nastolatków. Takie tajne przejście wśród setek sztachet było trudne do

zlokalizowania przez oganiaczy do czasu wydeptania prowadzącej doń ścieżki przez młodocianych użytkowników. Najlepszym zabezpieczeniem akcji nazywanej przewrotnie dzierżawą był system wczesnego ostrzegania. Największe zagrożenie mogło nadejść z budynków stojących na północnowschodnim krańcu ogrodu. Tam właśnie mieszkał główny prześladowca dzikich dzierżawców, więc w tym kierunku wystawiano na czacie obserwatora. Bywało jednak, że szczywany lis dozoru próbował zaskoczyć chłopaków zachodząc ich od tyłu, żeby im odciąć drogę ucieczki. Musieli, więc mieć baczenie na bezpieczny odwrót. Tym razem nie było inaczej. Na czatach w głębi ogrodu stał Józek Piotrowski.

Penetracja jesiennego sadu za jabłkami i włoskimi orzechami była jedną z dwóch wielkich pasji gromady urwisów. Z nastaniem wczesnych jesiennych ciemności wzmagala się też ekscytacja wielkim polowaniem. Po odrobieniu lub zadanych do domu lekcji i ewentualnej pomocy w wieczornym obrządzaniu zwierząt inwentarskich chłopcy ze starszych klas podstawówki wychodzili za zgodą rodziców z domu, żeby nacieszyć się niesamowitym hitem ostatniego sezonu, czyli elektrycznymi latarkami zwanymi na wsi po prostu bateriami. Posiadanie własnej baterii było wtedy największym marzeniem chłopaka z Woli. Wieczorami smugi światła przecinały się nawzajem na przymglonym niebie tworząc coś w rodzaju widowiska. Latarki o przeróżnych kształtach i wymiarach były zasilane bateriami firmy Centra Poznań. W zależności od mocy baterii, jakości szkielec i odbłasków różna była siła i rozrzut emitowanych wiązek światła. Żonglowanie smugami światła było tylko niewinną zabawą do czasu, gdy ktoś wpadł na pomysł użycia tych przenośnych źródeł jasności do polowania na wróble. Wiemy już, że upolowanie wróbla jest sztuką samą w sobie choćby, dlatego, że raz spłoszony trzymał się w bezpiecznej od ludzi odległości. Mimo tej czujności ziarnojadów chłopcy usiłowali przechytrzyć spryciarzy na wszelkie możliwe sposoby. Do polowania służyły proce broń znana od zarania dziejów. Budowa tej miniaturowej wyrzutni i sposób miotania pocisków miały już za sobą wiele wieków ewolucyjnych udoskonaleń. W połowie dwudziestego wieku proce były już na wskroś nowoczesne. Celowniki były jeszcze drewniane, choć zdarzały się już z drutu odpowiedniej grubości wytrzymałego na zginanie. Na ogół były to jednak rozkrajki w kształcie litery Y, wyszukane i wycięte z korony jakiegoś liściastego drzewa o twardym drewnie. Nóżka igreka służyła za uchwyt. Do ramion przytwierdzało się dwa wąskie paski z elastycznej gumy o długości od 25 do 30 centymetrów nazywane przez chłopaków szlokami albo słokami połączone owalnym pakiem cienkiej skóry, w którym umieszczano się nabój. Amunicja składała się z kształtnych kamyków odpowiedniej wielkości wyszukanych w żwirku. Jako pocisków używano też śrutu uzyskanego z pociętych na kawałki ołowianych osłon kabli elektrycznych. Wszystkie elementy składające się na procę były połączone wiązaniami z niesłychanie mocnej szewskiej dratwy. Dobrze skonstruowana i dokładnie wykonana proca miała zasięg rażenia o promieniu około 100 metrów. Była dość celna w rękach doświadczonego strzelca, ale tylko przy znacznie krótszej odległości. Strzelanie do ptaków było z dawien dawna ulubioną rozrywką wyrostków, lecz jak na zabawę dość drastyczną nie wyrządzało w pogłowie ptactwa większych szkód dzięki ich świetnej orientacji, co do niecznych zamiarów dybiących na ich życie ludzi. Tak było, ale do czasu rozpowszechnienia noszących wąski snop silnego światła elektrycznych latarek. Wtedy ktoś wpadł na makabryczny pomysł, żeby zabijać ptaki podczas snu. Wróble masowo nocowały w słomianych strzechach stodół i obór gdzie miały ciepło i wygodnie. Czuły się tam bezpiecznie, bo żadne drapieżniki nie miały do nich dostępu. Wprawdzie chłopcy próbowali sięgać po nie, ale bezskutecznie. Trzask słomy łamanej przez ciężką drabinę natychmiast płoszył ptaki zawsze gotowe do ucieczki. Latarka elektryczna zmieniła wszystko. Ostre światło oślepiło ptaka nagle odartego z bezpiecznej ciemności. Celny strzał z procy w jasno-szary brzuszek miał wymiar egzekucji. Ptaki ratowały się przed zagładą, lecz prześladowcy wciąż za nimi szli. W ciągu kilku jesiennych sezonów pogłowie wolskich wróbli zostało zdziesiątkowane. Z dwóch tysięcy zostało może dwieście sztuk. Po znaczącym trzebieniu stada atrakcyjność polowań znacznie spadła. Niełatwo było odnaleźć rozproszone ptaki, więc ubywało tropiących. Niemniej jednak kilku

zatwardziałych wrogów ziarnojadów wciąż kontynuowało swój sławetny proceder. Uważnym obserwatorom życia wiejskiego wydawało się już, że niezadługo dzielny wróbel podzieli los tura. Wtedy jednak nieszczęsnym ptakom przyszedł na ratunek prezydent Francji.

Towarzysz Wiesław u schyłku swojego panowania dostąpił nie lada zaszczytu goszcząc samego Charlesa de Gaulle. Francuski generał znany był z niesłychanej, podszytej farsą lekcji megalomani, jakiej udzielił światu. Sponiewieraną przez Niemców i naznaczoną piętnem kolaboracji Francję wypromował na czwarte mocarstwo świata i zapewnił jej znaczące miejsce w panteonie zwycięzców II wojny światowej. Swoim czynem potwierdził ważną prawidłowość, że rzeczywiste zasługi nie mają nie mają większego znaczenia w kreowaniu legendy osnutej wokół pewnych wydarzeń i ludzi. Kluczową rolę w tym procesie grają, bowiem fakty medialne podane w odpowiednim gęstym szumie propagandowym. Generał osiągnął ten niezasłużony sukces stawiając aliantom bezczelne żądania, tupiąc nogami i wykrzykując hasła o wielkości Francji. Wizyta francuskiego przywódcy przyniosła rewolucyjny przełom w sferze nakryć głowy. Zaowocowała wysypem a potem prawdziwą eksplozją degolówek, czyli czapek wzorowanych na tych noszonych w militarnych formacjach francuskich. Czapka miała kształt dość głębokiego owalnego rondla ze sztywnym płaskim daszkiem. Na punkcie tych czapek oszalał cały kraj i nasza wieś także. Każdy nastolatek marzył o degolówce i prawie każdy ją miał. Dotąd żaden uczony socjolog nie pokusił się o naukowe wyjaśnienie tego niesamowitego zjawiska ze świata mody, natomiast wieść gminna niosła taką oto historyjkę o okolicznościach nadania degolówce ostatecznego kształtu. Otóż u zarania ta słynna czapka miała daszek całkiem niewielki. Zmiana przyszła po objęciu przez generała de Gaulle przywództwa państwa francuskiego. Opatrzność obdarzyła generała całkiem okazałym nosem. Pewnego dnia podczas rześkiego deszczu przyjmował defiladę pododdziałów Legi Cudzoziemskiej. Woda deszczowa spływała po daszku na wystający generalski organ powonienia. Następnego dnia po tym wydarzeniu Departament Obrony wydał instrukcję mundurową określającą wymiar daszka wojskowej czapki na dwa centymetry dłuższy od nosa tego wielkiego męża stanu. Wraz z wybuchem epidemii degolizmu niedobitki wolskich wróbli zostały uratowane. Szczytowe nasilenie polowań na te ptaki miało miejsce w okresie dominacji skurzanych pilotek, które nie posiadając żadnych daszków były idealnym nakryciem łowy podczas polowania. Długi daszek degolówki wykluczał możliwość oddania celnego strzału do wróbla ukrytego w wiszącej nad głową strzesze. Historia ta jeszcze raz potwierdza znaną prawdę o jednostronnych /dla Francji/ korzyściach płynących z tradycyjnej przyjaźni polsko-francuskiej. Pozbywając się nieustępliwych wrogów wróble rozmnażały się w postępie geometrycznym. Rosły w siłę i stawały się coraz bardziej butne i bezczelne. Po kilku latach było ich więcej niż przed masakrą. Tuż przed żniwami kilkaset tych ptaków kryło się w gałęziach wysokich grabów rosnących w Parku Krzysztoporskich. Co jakiś czas spadały niczym chmura szarańczy na pobliskie pole dojrzewającej pszenicy. Uwijały się jak w ukropie, żeby zdążyć wymłócić ile się da przed kombajnem. Pasły się na miękkim jeszcze, słodkim ziarnie. Ful wypas psuła im, co nieco nasza babcia Marianna pracowicie wałąc tłuczkiem w blaszaną patelnię.

Jesień tuliła się już do zimy. Poranne mgły były teraz bardziej zwarte i bardziej chłodne. Śnieg rośnie mówili starzy ludzie i było w tym coś na rzeczy. Mroźny poranek utwardził błoto na ulicy Szkolnej. Dzieci ze Wsi szły teraz do szkoły środkiem drogi zamiast tłoczyć się na żuźlowej ścieżce usypanej wzdłuż ogrodzenia sadu. Wraz z ostatnimi liśćmi spadły ostatnie jesienne jabłka. W miejscu gdzie rosły włoskie orzechy można było jeszcze spod pierzyny opadłych liści wygrzebać jakieś zapomniane owoce. Przejmujący wieczorny chłód definitywnie przerwał sezon polowań na wróble śpiące w słomianych kryjówkach. Kałuże na drogach błysnęły brudnym i szybkami pierwszego lodu. W powrotnej drodze ze szkoły zbaczaliśmy w kierunku dworskiego stawu, żeby ocenić wytrzymałość ścinającego tafle wody lodowego lustra. Lada dzień najodważniejszy z nas pobiegnie po uginającej się pod nogami lodowej pokrywie. Oczekiwanie trwało dwa, może trzy dni i mieszkający przy stawie Tadek Pigularz przyniósł do szkoły wesołą nowinę. Według jego zapewnień przejrzysta tafła na stawie była już na tyle mocna, żeby

rozegrać na niej hokejowy mecz. Tadek wiedział, co mówi, bo latem i zimą staw zajmował w jego życiu ważne miejsce. Dom, w którym mieszkał we woli każdy znał, jako miejsce świadczenia usług w zakresie medycyny niekonwencjonalnej, która z powodzeniem konkurowała z przyfabryczną przychodnią zdrowia, gdzie dzięki uprzejmości pani Niny Zawiślak można było zapisać się do lekarza lub dentysty. Dotyczyło to tylko zatrudnionych w sektorze uspołecznionym. Niestety znacząca większość ludności utrzymująca się z pracy na swoim musiała za leczenie słono płacić. Wśród nieubezpieczonych absolutną większość stanowiły rodziny chłopskie bezlitośnie ograbiane przez państwo z owoców swojej pracy, Tych, których nie było stać na opłacenie fachowej pomocy medycznej wzywali lekarza dopiero wtedy, kiedy zawiodły wszystkie inne od wieków stosowane sposoby ratowania chorego. Często zbyt późno. Wiara w gusła miała się jeszcze całkiem dobrze wśród ludzi starej daty. Młodszy preferowali bardziej nowoczesne metody leczenia. Życie nie znosi próżni a popyt na tanie usługi musiał zostać zaspokojony przez domorosłych uzdrowicieli. Wśród nich nie brakowało hochsztaplerów, ale byli też tacy, którzy leczyli nie gorzej od dyplomowanych medyków. Należała do nich niewątpliwie babka Tadzka Amrozika Apolonia Banaszczyk wdowa po Stanisławie. Ciotka Polka stawiała bańki i udzielała różnych cennych rad chorym i cierpiącym. Największą sławę przyniosła jej umiejętność błyskawicznego a przy tym bezbolesnego usuwania z oczodołów wszelkiego rodzaju paprochów ludziom zapłakanym z bólu. Ciotka nie używała żadnych narzędzi, posługiwała się wyłącznie własnym językiem. W tym samym domu prowadził praktykę stomatologiczną zięć Apolonii i ojciec Tadzka Pigularza Franciszek zwany Faustynem. Rwanie zębów mieściło się u niego w zastawie innych usług w tym ślusarskich, elektrycznych i zegarmistrzowskich. Posiadał niezbędne dentystyczne przyrządy i niesamowity dryg do tej roboty. Ważną jego cechą była absolutna obojętność na strach pacjenta i ból podczas rwania.

Właśnie, dlatego usunięcie przez niego zęba było o niebo mniej bolesne niż ten sam zabieg u dyplomowanego stomatologa. Uczniom też się zdarzało korzystać z usług kliniki nad dworskim stawem, dlatego Tadek był dla nich nie lada autorytetem i skoro ogłosił akuratną twardość lodu natychmiast powierzchnie zamrożonego stawu zaroiła się od amatorów zimowych szaleństw. Przez następne dni wrzask biegających po lodowej tafli niósł się wiejskimi ulicami i zaułkami a przez dworski ogród i park docierał do Folwarku. Nocne mrozy utwardzały lód, który po pewnym czasie nie uginał się już i nie trzeszczał. Długość sezonu hokejowego była wyznaczona tempem narastania grubości lodu. Kiedy lodowa skorupa osiągała grubość 25 centymetrów wolska kadra hokejowa ustępowała miejsca rębaczom lodu. Hokeiści biegali po lodowisku na zelówkach, bo tylko nieliczni posiadali łyżwy mocowane do butów. Nakręcany prostym kluczykiem nieskomplikowany mechanizm zaciskał na bucie szczęki uchwytów. Zbyt mocno dokręcone szczęki mogły oddzielić zelówkę od reszty buta. Były to zdarzenia podwójnie bolesne, bo oprócz żalu spowodowanego zniszczeniem butów groził pechowcowi lanie od rodziców i przymusowy areszt domowy, którego wymiar zależał od czasu niezbędnego na naprawę obuwia, jako że posiadanie przez chłopca drugiej pary zimowych butów pozostawało w sferze marzeń. Pod naporem rębaczy lodu cała miejscowa populacja nastolatków rozpadała się na dwie części. Jedna grupa złożona głównie z folwarusów przenosiła się na staw i ślizgawkę do parku. Druga część ferajny złożona z siwuchów szalała na małych saneczkach po zamrożonej powierzchni wiejskiego stawu za kościołem. Rębacz po bezlitosnym usunięciu hokeistów odcinali z lodowego płaszcza stawu potężne złomy i przy pomocy bosaków osadzonych na długich żerdziach wyciągali na brzeg. Tam po podzieleniu na mniejsze kawałki zabierały go furmanki przewożące urobek na fabryczny plac, gdzie powstawała słynna wolska piramida lodowa. Daleko jej było do ogromu egipskich kolosów, ale przewyższała je użytecznością. Tamte wznoszono w celach propagandowych. W tej okrytej niesłychanie grubą warstwą trocin krył się przed potęgą słońca akumulator zimna napędzający proces produkcji barwników przez cały boży rok. W tym czasie wsiuchy wyciągały z jakichś zakamarków małe, drewniane, własnoręcznie zrobione saneczki z podkutymi drutem sanicami. Jeździło się nimi klęcząc ja w konfesjonale tyle, że zamiast ukrytego za kratą księdza wzrok obejmował śliską przestrzeń stawu. Dłonie przemarznięte, choć w

rękawiczkach zaciskały się na kulkach, czyli uzbrojonych w metalowe szpikulce kijkach służących do odpychania się od powierzchni lodu. Sanki pędziły po lodzie ze znaczną prędkością a tory ich biegu często się krzyżowały. Z braku znaków drogowych i funkcjonariuszy kierujących ruchem na zamarzniętym stawie panował wielki bałagan a kolizje i wywrotki były czymś całkiem normalnym. Przedmiotem podziwu i zazdrości ze strony lodowych slalomistów były saneczki Władka Raczyńskiego. Sanki były dziełem jego starszego brata Kurka. W miejsce drewnianych sanic miały zamontowane stare, już niekompletne, ale mocno wyostrzone łyżwy. Sunąc po lodzie z prędkością światła delikatnym zarysem znaczyły swój bieg a przynajmniej tak się wydawało obserwatorom. W porównaniu do pozostałych znacznie wolniejszych ślizgów był to prawdziwy bolid w czasach, kiedy o Formule 1 jeszcze nikomu się nie śniło.

Folwarusy też nie zasypiały gruszek w popiele. W miejscu gdzie za Krzysztoporskich był staw a za Szpilfoglów kort tenisowy z wyżej położonej alei grabowej spadała w kierunku Podkowy błyszcząca gładź słynnej ślizgawki. Maluchy i dziewczynki zsuwały się z niej w pozycji kucznej trzymając się wzajemnie w uformowanych różnej długości kolejkach. Najodważniejsi fajterzy spadali w dół z bigłem na wyprostowanych nogach. Zsuwali się pojedynczo do złudzenia przypominając skoczków narciarskich na zeskoku Wielkiej Krokwi. Prędkość zsuwania była wprost proporcjonalna do masy ciała i odwrotnie proporcjonalna do oporu stawianego przez zelówki. Trzeba wiedzieć, że ślizganie się było objęte surowym zakazem przez rodziców ze względu na przyśpieszone zużycie zelówek, których wymiana była sporym wydatkiem. Nie mieli tego problemu chłopcy przychodzący na ślizgawkę w trepach, Naturalna śliskość gładkiej, drewnianej podeszwy zapewniała lepszy poślizg i co za tym idzie większe emocje podczas zjeżdżania. Poza tym w trepach stopy miały znacznie cieplej niż w nienajlepszych butach ze świńskiej skóry. Na samym dole wyslizgany jeźor lodu kończył się a twardym śniegu. Tam lądowali ci, którzy nie zdołali do końca utrzymać równowagi. Zdarzały się także groźniejsze upadki w pełnym biegu na twardy jak beton lód. Tak było z Edkiem Makulskim, który po upadku na tył głowy długo nie mógł się pozbierać a jeszcze dłużej odczuwał dolegliwości nabyte za sprawą nadmiernej brawury. Te chwile grozy nie na długo psuły wesołą zabawę a wrzaski i śmiech płoszyły osowiałe od mrozu siedzące w starodrzewiu ptaki. Ciężko zrywały się do lotu, bo nie było w nich nawet odrobiny lekkości Adasia Motyla, który prawie unosił się nad gładzią ślizgawki. Jeszcze większą brawurą imponował Biku, czyli Adaś Błaszczuk, nieformalny przywódca młodszych roczników z Folwarku nazywanych, drzykami. Ślizgawka w parku była atrakcją nieprzeciętną a jednak natychmiast opustoszała, kiedy gruchnęła wieść, że rębacze odeszli z dworskiego stawu. Zostawili ciemną toń wody pomarszczoną przez zachodni wiatr. We wodzie tu i ówdzie bielily się większe i mniejsze kry lodowe. Te większe posłużyły chłopakom do żeglowania na podobnym do arktycznego akwenu. Lodowe tratwy mogły udźwignąć nawet po kilku żeglarzy. Pływający na nich chłopcy przypominali wyglądem wiślanych flisaków. Do oryli upodobniały ich długie, drewniane żerdzie, którymi odpychali się od grząskiego dna stawu. Utrzymanie równowagi na gładkiej i chwiejnej powierzchni kry lodowej do łatwych zadań nie należało. Rozchlapywana woda zamarzała natychmiast zwiększając śliskość pod podeszwami przemoczonych butów. Zsuniecie się lodowatą toń oznaczało termiczny szok i pewne zapalenie płuc. Przeskakując z kry na krę chłopcy obejmowali w posiadanie cały staw. Z kawałków lodu powstawała flota o wojennym profilu. W akwenu zaroilo się od pancerników, krążowników i niszczycieli. Załogi tych zaimprovizowanych okrętów toczyły wielką bitwę morską. Dla stojącego na brzegu uważnego widza była to inscenizacja złożona z nostalgii za

wymarzonymi wyprawami do krajów nieznanymi przez burzliwe i niebezpieczne morza i oceany. Walcząc z wymagowanymi i rzeczywistymi żywiołami chłopcy skutecznie uwalniali się od kompleksów zapyziałej prowincji. Prawdę mówiąc ta marynistyczna zabawa niezbyt podobała się dorosłym Wolanom, więc zdarzało się przechodzącym obok ludziom pogrozić palcem niesfornym wyrostkom, jednak interwencje nie były skuteczne, bo wilki morskie nie podlegają lądowej jurysdykcji. O szarej godzinie

wzmagający się mróz zamieniał w sztywne rury nogawki przemoczonych spodni a serca żeglarzy ogarniał strach przed gniewem rodziców i niesprawiedliwą ich zdaniem karą za lekkomyślność i nieposłuszeństwo. Staw tonął już w ciszy wieczoru, białe kontury opuszczonych przez załogi okrętów kołysało się lekko w czarnej wodzie a herosowie spod komendy admirała Nelsona wracali chyłkiem do domów, gdzie miały rozegrać się finałowe sceny widowiska. Niektórym upiekło się, ale byli też tacy, co zawarli bliższą znajomość z ojcowskim pasem. Lanie nie było na ogół skutecznym środkiem przeciw marzeniom. Myśli o wielkiej przygodzie podsycane lekturą książek napisanych przez wielkich podróżników popchnęły synów osiadłych tu przed wiekami rodzin do opuszczenia domowych pieleszy w odpowiedzi na zew tajemniczych mórz i egzotycznych zakątków świata. A wszystko zaczęło się tu we Woli w Magicznym Zakątku.

Stojąc na czacie Józek Piotrowski myślał o tych wszystkich atrakcjach, jakie przyniesie zbliżająca się wielkimi krokami zima. Patrzył na wysokie zgrabne sztachety w dworskim płocie i myślał, że czas najwyższy zająć się nartami. Oryginalnych desek narciarskich nikt w Woli nie posiadał. Nie było też na równinie przydatnych do uprawiania narciarstwa miejsc. Z wyjątkiem niewielkich pochyłości w lesie na Bogdaszce, gdzie wśród sosen wytyczono szlaki do zjeżdżania. Była tam nawet maleńka skocznia, Dobrze rozpędzony narciarz mógł pofrunąć z jej progu w powietrze, żeby z zapartym tchem wylądować trzy, cztery metry dalej. W niewielkiej Olszynie nie starczyło miejsca dla całej, zafascynowanej narciarstwem dzieciarni. Szusowali tam tylko posiadacze odpowiedniego sprzętu. W użyciu były dwa rodzaje nart. Jedne z klepek od beczki wymagały niewielkiej obróbki, ale zbyt wygięte nadawały się tylko do zjeżdżania. Drugie bardziej zbliżone wyglądem do nart profesjonalnych, wykonane za sztachet odpowiednio wymodelowanych z czubkami wygiętymi niemałym trudem w strumieniu gorącej pary wyrzucanej przez rurkę wstającą z muru fabryki. O takich nartach marzył Józek. Stać go było na dość precyzyjne ich wykonanie. Przecież to on wystrugał kolbę do słynnej, radzieckiej pepeszy jakże przydatnej podczas zabawy w partyzantkę. Józek miał jeszcze większe marzenie, od czasu, kiedy zobaczył kierownika Wawrzynkowskiego śmigającego na łyżwach do jazdy figurowej po zamarzniętym parkowym stawie po prostu nie mógł spać po nocach. Widział na jawie jak zakłada na swoje stopy wspaniałe skórzane buty uzbrojone w prawdziwe łyżwy przeznaczone dla zawodowców. Zapomniał w jednej chwili, że stoi na czacie i ubezpiecza kolegów buszujących w pegeerowskim sadzie. Przebudzenie nie było przyjemne. Przed nim jak namalowany stał Lasota z dubeltówką na plecach. Chłopak był tak zaszokowany, że nie zdążył powiedzieć nawet słowa a już oganiacz trzymał go za kołnierz. Józek mowę miał dość płynną i wyraźną tyle tylko, że pod wpływem dużych emocji zaczynał się jąkać by po chwili się śmiać. Bywało, że chwycił go śmiech tak okrutny, że z tej wesołości uginały mu się nogi i padał na ziemię. Wypisz, wymaluj tak właśnie się stało. Zaskoczony i przerażony chłopak próbował krzyknąć. Lasota idzie! Nie dał rady, bo się zaciął.

- La, la, la, la, la – wyksztusił z siebie ze śmiechem.

La, la, la, la, la - powtórzył jak echo i upadł na trawę.

Urwisy na drzewie nie zwróciły uwagi na Józka wołanie myśląc, że znudzony długim wyczekiwaniem zaczyna sobie podśpiewywać i zanim się spostrzegli zostali rozpoznani. Nie dali się jednak schwytać i czmychnęli swoim tajnym przejściem pozostawiając swojego wartownika w objęciach dworskiego stróża.

Las Vegas za stodołami

Daleko było jeszcze do ery jednorękich bandytów a namiastkę ruletki znaleźliśmy tylko z odpustowych kramów, gdzie wygraną były gipsowe figurki to jednak demon hazardu miał się zupełnie dobrze wśród mieszkańców Woli i na, co dzień i od wielkiego dzwonu. Wprawdzie władza ludowa od swojego zarania potępiła gry hazardowe i zakazała ich uprawiania to lud niewiele sobie z tych zakazów robił i nadzwyczaj zręcznie je omijał.

Ledwie śnieg stopniał i błoto obeschło na „Forum Wolanum’’, czyli skrzyżowaniu ulic Wesołej i

Kościuszki a już zbierały się grupki chłopców grających w odbitkę. Repertuar gier był bardzo bogaty, ale młodzież preferowała zazwyczaj te, które wymagały nie tylko myśli taktycznej, ale także zręczności i fizycznej sprawności. Gra w odbitkę należała do najprostszych i była dostępna nawet chłopcom z najmłodszych klas podstawówki. Wystarczyło, że gracz posiadał kilka monet, z których jedna służyła do odbijania od muru. Była to z reguły, pokaźna, mosiężna pięciogroszówka. Trzymając w dwóch palcach tę monetę należało odbić ją od ściany tak, aby odskoczyła jak najdalej. Kolejny gracz odbijający swoją monetę starał się, aby upadła jak najbliżej tej leżącej na ziemi, Jeżeli odległość między monetami dała się zamknąć rozpostartymi palcami dłoni drugiego z graczy wygrywał on równowartość upolowanej monety. Jeśli nie uderzył celnie szansę otrzymywał kolejny gracz i tak dalej aż do wyczerpania całej plejady grających. Podwójna stawka obowiązywała wtedy, kiedy moneta spadała na monetę a przynajmniej nie dalej jak na szerokość dużego palca, grającego. Ten rodzaj pomiaru był szybki i prosty, zapewniał, więc grze odpowiednią dynamikę. Wadą natomiast, było preferowanie graczy o dużych dłoniach i grubych palcach. Był to oczywiście bardzo cenny, dodatkowy atut, ale bez umiejętności celnego odbijania monet na niewiele się zdawał. Walka na ubitej ziemi pod ścianą wiejskiej świetlicy mogła trwać godzinami. Nikt specjalnie nie przepędzał małolatów chyba, że poszukujący ich z powodu długiej nieobecności rodzice. W tej grze było jednak nieskończenie więcej zabawy niż hazardu a właściwie była to niemal wyłącznie gra zręcznościowa, być może z jakimiś trudnymi do określenia nutkami hazardu, którym daleko jeszcze do akordów rozbijających wniwecz harmonię ludzkiej duszy. Co innego gra tacami? Ta gra, do gry w odbitkę miała się jak pięść do oka i nosiła w sobie załączek obłędu, który stał też u zarania Las Vegas. Gra w tace toczyła się w takim ukryciu i była owiana taką tajemnicą jakby chodziło, co najmniej o rosyjską ruletkę. Wymarzonym miejscem dla niej była ścieżka za stodołami ulicy Wesołej zaczynająca się od familiaka-bliźniaka przy ulicy Kościuszki. Tuż za tym piętrowym, drewnianym budynkiem dla kilku rodzin stała murowana stodoła Jana Wieczorka. Dalej w rzędzie stały stodoły Mielczarka zwanego Kubą. Henryka Ałaszewskiego. Ścieżka biegła skrajem pól wydeptana przez ludzi skracających sobie drogę do sklepu. Był tu urokliwy zakątek wsi na zapleczu ruchliwego centrum. Za stodołą Gąsiorów i Kuciapów działało tajne kasyno. Scenerię, stanowił czworokąt pól i ogrodów zamknięty zwartą zabudową ulic Wesołej i Kościuszki oraz pojedynczych zagród Kowalskich i Krakowiaków, prekursorów późniejszej ulicy Niecałej przecinającej uroczysko Grobelki. W godzinach obiadu prawie nikt z dorosłych wtedy nie przechodził, więc jawiło się to miejsce, jako idealne dla młodych hazardzistów. Mimo pełnej konspiracji, tak całkiem cicho to za stodołami nigdy nie było z powodu silnych emocji wywołanych grą. W miejscu gry nie panował, więc zgiełk a nawet gwar. Słychać było stamtąd jakiś poszum, który nasilał się w momentach wzrostu emocji, żeby nagle wyciszyć się po interwencji jednego ze starszych, rozsądniejszych uczestników tajnego zgromadzenia. Cicho- brzmiało stanowcze wezwanie i zalegała cisza aż do kolejnego podniesienia się wrzawy. Nie mogło być inaczej skoro chodziło o pieniądze. Właśnie pieniądze a dokładniej monety leżały poukładane w stos na drewnianym, niewielkim słupku wielkości małej szklaneczki. Stawką w grze mogło być dwadzieścia pięć groszy, czyli równowartość połowy najtańszej bułki. Stawek ułożonych na słupku było tyle ilu chłopców uczestniczyło w danej rozgrywce. Żeby zdobyć pieniądze należało je zebrać ze słupka rzutem metalowej tacy. Wśród tac wielka była różnorodność, choć wszystkie mieściły się w trzech kategoriach. Najczęściej używane były szajby, czyli żelazne dyski o wadze 1-2 kilogramy, jednolicie wytoczone bądź ażurowe, pochodzące z demobilu elementy układów napędowych maszyn i urządzeń przemysłowych. Gracz rozpoczynający z reguły używał szajby, rzucając nią w bank składający się z kilku drobnych monet umieszczonych na słupku stojącym na wolnej od trawy i chwastów ubitej ziemi. Chodziło o to, żeby rozrzucone siłą uderzenia ciężkiej szajby monety nie zapodziały się. Zanim jednak pierwsza szajba robiła bank chłopcy musieli się upewnić czy w pobliżu nie znajduje się ktoś, kto mógłby ich rozpoznać i donieść rodzicom. Jeśli nie daj Boże tak by się stało to uczestników rozgrywki czekałyby dotkliwe sankcje, czyli na ogół kary cielesne. Jeśli osobą karzącą była matka nieszczęsnego hazardzisty to narzędziem zadającym ból była różga. Jeśli jednak

sprawiedliwości służyła ręka ojcowiska to wprawiany był w ruch rzemienny pasek rodziciela. Mogło zdarzyć się jednak, że winowajca uniknął kary, jeśli w odpowiednim momencie rzucił się do ucieczki, bo podtrzymującego ręką spodnie mężczyzny na ogół nie stać na skuteczny pościg. Powyższe rozważanie należy traktować, jako czysto teoretyczne, bowiem rodzice nie dawali wyprowadzić się w pole i tępili z całą surowością każdy przejaw fascynacji hazardem u swego potomstwa. Wydaje się, że takie ostre reakcje na młodzieżowe ciągoty do zakazanych gier nie wynikały z przekonania, co do szkodliwości nałogu a raczej z konieczności podporządkowania się presji suwerenów, czyli Kościoła i państwa, które choć rywalizowały dość często aż do utraty tchu to jednak solidarnie potępiały hazard i zwalczały na wszelkie możliwe sposoby. Na hazardystów grzmiał ksiądz z ambony oraz ściagała ich milicja. Tak naprawdę ludziska uważały hazard za szkodliwy tylko dla przegranego. Jeśli natomiast poszczęściło się komuś w grze to przyjmował wygraną za znak przychylności ze strony Opatrzności Bożej. Miała tu zastosowanie głęboko zakorzeniona w mentalności ludzkiej tak zwana filozofia Kalego tak obrazowo i lapidarnie przedstawiona przez Sienkiewicza w jego znakomitej powieści przygodowej. Tak, więc nie zrażając się retoryką socjalistycznej propagandy i traktując z życzliwą ignorancją wołanie z ambony różnili Wołanie w karty przy każdej, nadarzającej się okazji. Tak było w latach najgorszego stalinizmu, tak samo za towarzysza Wiesława, tego samego, do którego poeta zwracał się, Towarzyszu Wniesławie "w wierszu wytykającym mu złamanie obietnic. Z gier karcianych najpopularniejszą była gra w oczko. Z talii kart w ręku bankiera wyciągało się kolejne karty dążąc do uzyskania 21 oczek. Marzeniem było wyciągnąć asa i dziesiątkę. Asa wyceniano na jedenaście oczek Razem z dziesiątką dawał oko, czyli wygraną Przy ciągnięciu trzech lub więcej kart sprawa mogła się skomplikować Przekroczenie pożądanej sumy skutkowało furą, czyli przegraną. Wygrywał wtedy bankier trzymający pieniądze i karty. Ambicją bankiera było nagromadzenie w puli jak największej kwoty, ponieważ po pewnej, umownej liczbie ciągnięć padała jego łupem. No chyba, że ktoś idąc na całość rzucił stawkę równą puli i wygrał. Mówiło się wtedy, że robił bank, więc talia przechodziła w ręce innego gracza, który tworzył nowy bank wyposażając go w kapitał. W tej grze błyskawicznym przebiegu wszystko zmieniało się jak w kalejdoskopie. Dotyczyło to głównie skali emocji, którym bez wyjątku ulegali gracze niezależnie od wyników toczącej się rozgrywki. Dobra passa mogła skutkować ścisaniem gardle i ssaniem w żołądku. Takie same objawy mogła wywołać nieuchronna, druzgocąca kłeska. Takie reakcje były dziełem demona hazardu, który wzniecał euforię bądź strach przy pomocy przyśpieszonego rytmu serca i rosnącego ciśnienia krwi. Nikt nie potrafi wobec hazardu pozostać obojętny, choć zdarzają się tacy, co potrafią ukryć emocje w sposób niemal doskonały, niekiedy tylko jakiś trudno dostrzegalny dla postronnego obserwatora tik zdradzi emocjonalne zaangażowanie, bo to tylko pozory i kamuflaż ten rzekomy, olimpijski spokój wytrawnych hazardystów. W ich wewnętrznej przestrzeni psychicznej bez ograniczeń hula demon niczym wicher, podsycany nadzwyczajną eksplozją chciwości Zdarzało się, że do grupki grających gdzieś za stodołami dołączył młodociany wracający ze sklepu, gdzie wysłany przez rodziców jakiś, niewielkich zakupów. Na widok balansujących w objęciach ducha hazardu wytrawnych graczy zaczęła parzyć go ścisana w dłoni reszta, wydana przez sklepową w postaci kilku aluminiowych monet. Zbliżał się, więc powoli nieszczęsny do źródła gry, najpierw odpędzany, jako żółtodziób, nieuprawniony do obcowania z wtajemniczonymi. Z czasem jednak już po zademonstrowaniu posiadanych drobników został dopuszczony na zasadzie, że grzech odrzucać pieniądze, co same się pchają do kieszeni. Przez chwilę cały szczęśliwy, młody adept sycił się udziałem w grze jak równy z równymi wśród starszych kolegów niedopuszczających go, na co dzień do ściślejszej komitywy. Nim jednak zdążył się nacieszyć rzekomym awansem życiowym został już bezlitośnie ograny. –Nie graj Wojtek, nie przegrasz portek- usłyszał na odchodne. Przypadkowi koledzy nie mieli dla niego słów pocieszenia a czekało go jeszcze retoryczne pytanie rodziców o resztę pieniędzy. Jeszcze gorzej, jeśli małolata wchłonęła grupka hazardystów jeszcze przed pójściem do sklepu. Wyobraźnia kuszona powiększała mu karę podsuwając przed czasem świszczący w powietrzu skórzany pasek i psi skowyt wywołany bólem batożonego

pośladka Z tych wszystkich powodów gra w oczko była przez miejscowe autorytety uważana za niegodną uczciwego człowieka. Nie mówiąc już o pokerze, którego sama nazwa kojarzyła się z szulernią. Dla nich granicę dopuszczalnego hazardu wyznaczała gra w tysiąca, w której niewielką, składkową sumę zbierał ten gracz, co pierwszy osiągnął dorobek tysiąca punktów. W tej niebogatej przecież społeczności tkwił jednak nieprzerwanie nieśmiertelny mit szczęśliwego losu, który spośród tysięcy zwykłych, zupełnie przeciętnych ludzi wybiera kogoś na chybił trafił i czyni go w jednej chwili bajecznie bogatym a więc niezmiernie szczęśliwym. Choć nie całkiem słusznie to jednak powszechnie się mówi, że bogactwo i szczęście w jednej chodzą parze. Brakowało, więc ludziom prostym dostępu do wielkiej gry a tylko w takiej grze los obiecywał premię najwyższego pożądanego. Aż stało się, że po kilkunastu latach ustępowania ideologom i dogmatykom naukowego rzekomo socjalizmu praktyczna władza po cichu przywróciła działalność Totalizatora. Chodziło zarówno o korzyści finansowe do budżetu zyskującego tak zwany podatek od marzeń i odwrócenie uwagi obywateli od ochoczo składanych obietnic dobrobytu, który choć wielokrotnie przez ludową władzę zapowiadany nijak nie dawał się odczuć, na co dzień. Nowe lotto zwane dla lichego kamuflażu Totalizatorem Sportowym liczyło 99 numerów. Wśród nich wybierało się sześć. Każdy z numerów miał przypisaną dyscyplinę sportową poczynając od bojerów numerem 1 aż do kończącego wyliczankę żeglarstwa. Mimo mizerii promocyjnej i niewielkiego prawdopodobieństwa wygranej totalizator nazywany też totolotkiem wzbudzał ogromne zainteresowanie społeczne z powodu wielkości głównej wygranej wynoszącej okrągły milion. Fantastyczna nagroda sprawiła, że zaroilo się w Woli od marzycieli, choć naprawdę grających nie było zbyt wielu ze względu na brak miejscowej kolektury. Najbliższa gdzie można było złożyć wypełniony i opłacony kupon mieściła się w Piotrkowie Opłata za przejazd w obie strony podwajała koszty nadania kuponu. Nie mówiąc już o stracie czasu a czas na wsi był ważniejszy jak pieniądź. Wszystko się zmieniło, gdy Totolotek trafił pod strzechy, no może nie zupełnie, bo pod kryty papą dach Feliksa Ambrozika gdzie frontowy pokój był przystosowany na potrzeby sklepiku. Akurat stał pusty, bo ludowa władza tyle, co prywatny handel skutecznie udusiła. Istniało jeszcze prywatne rzemiosło w stadium wegetacji. Wśród rzemiosł szczególną pozycję miało fryzjerstwo, którego peperowcom nigdy nie udało się upaństwowić podobnie do usług erotycznych, co uchroniły się być może dzięki śpiewanemu, frywolnemu ostrzeżeniu.

- Szumią drzewa, lecą liście

Nie daj dupy komuniście.

Jak się partia o tym dowi?•

To ci dupę upaństwowi.

Ale dość dygresji, wracajmy do Felka. U niego podwoje otworzył zakład fryzjerski Zanim powieszono szyldy gruchnęła wieść gminna a ludzie natychmiast zrobili golibrodzie obłężenie. Nie tyle z chęci usunięcia zbędnego owłosienia, bo brzytew do golenia na wsi nie brakowało a fryzjerów samouków było do imentu, tylko rzucili się wszyscy do wypełniania kuponów totka i Kukułeczki, regionalnej gry z siedzibą w Łodzi. Fryzjer nie krył zadowolenia z tego naporu, bo miał od kuponu jakąś niewielką prowizję, która przy wysokich obrotach przynosiła niezły zysk. Z czasem euforia zmalała, ale grających nigdy nie brakowało Nawet po odejściu fryzjera, który z racji semickich rysów twarzy, dużej ruchliwości i gadulstwa był nazywany Żydkiem. Bywanie u fryzjera było wtedy trendy. W zimowe popołudnia i wieczory wypełnianie kuponów gier liczbowych odbywało się często grupowo a skreśleniu każdej kolejnej liczby towarzyszyły jakieś uwagi a nawet komentarze ze strony licznych obserwatorów. W takiej sytuacji nie trudno było nawet o ostre spory na temat liczb szczęśliwych, które w najbliższą niedzielę mogą ułożyć się w szyfr otwierający prawdziwy sejf w prawdziwym banku, gdzie na wybrańca losu będzie czekała góra prawdziwych pieniędzy. Nie wszyscy jednak wytyczali swą drogę do szczęścia na oczach fryzjera i jego gości. Wielu przychodziło tu kupić czyste kupony, aby w domowym zaciszu, często z udziałem całej rodziny odgadnąć liczby, które w niedzielę późnym wieczorem ujawni spokojny, beznamiętny głos spikera Polskiego Radia. A w oczekiwaniu na wynik losowania milionom graczy przy

radioodbiornikach drzeć będą ołówki w spoconych dłoniach Nie inaczej było we Woli. Tu wszystkie wypełnione przez marzycieli kupony po opłaceniu i oklejeniu banderolą wędrowały do skórzanej teczki fryzjer a wraz z nim autobusem PKS.

Do Piotrkowa. Wprawdzie u fryzjera dominował hazard, ale nie wszyscy jego goście oddawali się grzesznym emocjom liczbowych gier. Byli też tacy, co przychodzili pogadać. Wstępem do dyskusji było przeglądanie starych gazet przywożonych dla klientów z miasta. Nic to, że dzienniki i tygodniki były zawsze nieaktualne, bo miejscowi i tak żywili umiarkowaną nieufność do partyjno-rządowej propagandy. Gazetowe newsy pełniły tylko rolę zaczynu dyskusji politycznej, z której to wyciągnięte i uzgodnione konkluzje były zawsze negatywne dla rzekomo ludowej władzy. Jeśli nawet wśród politykujących znalazł się potajemnie posiadający czerwoną legitymację to nie odważył się broń Boże chwalić swoich towarzyszy trzymających władzę, co więcej sam ostro i bezkompromisowo odsądzał od czci i wiary peperowców, bo tak wtedy komunistów przezywano. Odsądzanie bolszewików od wiary nie miało zresztą sensu skoro sami głosili, że wiara to opium dla mas, czyli narzędzie wielce pomocne do utrzymania w karności i posłuszeństwie klas uciskanych przez cwana mniejszość trzymającą władzę i kapitał. U fryzjera hazard walczył o lepsze z polityką i plotką a wszystko było okraszone dosadnym kawałem. Dominowali tam mężczyźni w średnim wieku rozpamiętujący przedwojennej Polski Też ze znaczną mniejszością żydowską Piłsudskim i Dmowskim w tle. Nie było tam miejsca dla małolatów. Te dzieci okupacji wyczarowały sobie własny świat, którego ważna część mieściła się za wiejskimi stodołami. Jak tylko stopniał w wiosennym słońcu śnieg a udeptana ziemia obeschła z błota, ni stąd ni z owąd zbierało się zgrupowanie roczników 1940-45, zaczynały dźwięczyć lemiesz i szajby z przerwami na głuche uderzenia miękkich ołowianek. Na drewnianym słupeczku.

Chłopcy z Las Vegas

Po zimie długiej ziemia nie obeschła jeszcze
A już duch hazardu wezwał kwiat młodzieży,
Żeby każdy się mógł z losem szczęścia zmierzyć
W grze za stodołami na ubitej ścieżce.
Nie sposób odgadnąć, bo, na co i po co
Kto wymyślił wtedy grę męską i twardą?
W której smakując słodki grzech hazardu
Można zdobyć pieniądze metalową tacą.
Janek Urbański pierwszy tacą błysnął
Gdy z odległości tęgich siedmiu kroków
Posłał fałszem żelazo. Lecz upadło z boku
A dysk ażurowy ślad w piasku odcisnął.
Syn szefa poczty przyglądał blond włosy
I zasępił twarz w trosce, bo marnie spudłował.
Za to Józek Piotrowski wyciepnął bez słowa
Swą słynną ołowiankę. Ta z precyzją kosy
Podcięła lekko ów słupek drewniany
I monety błyszczące w rulonie nad celem,
Spadły jak na tacę ofiarną w kościele,
Na wyklepany młotkiem placek ołowiany.
Starszy z Raczyńskich braci Kurkiem zwany
Nerwowo wywija żelaznym lemieszem.
Zebrać z ołowianki monety jak w kieszeń
Chce rzutem płaskim po ziemi ślizganym.
Wali ze zgrzytem w szajbę Urbańskiego

Lemiesz a po drodze wymiata monety.
Lecz przemieszcza się dalej niż trzeba, niestety.
Choć Zygmunt myślami hamuje go w biegu.
Michał Florczyk czekał od dawna gotowy
Lecz wcześniej dołączył do grających stawki
Mirek, kolega z jego szkolnej ławki
Z braci Gąsiorów najbardziej nerwowy.
Wrócił ze szkoły, ledwie obiad skończył
Karol Lasota gracz w tace przebiegły.
Usłyszał głos walki na placu przyległym
Więc do grających natychmiast dołączył.
Popatrzyć jak będzie kończył pierwszą turę
Maniek Wieczorek, chłop prosty jak świeca.
Ten wśród przeciwników nieraz postrach wzniecał
Przegranym pozostawiał wspomnienia ponure.
Ważąc lemiesz spojrział na rażenia pole
Zryte od uderzeń niby kretowisko.
Gdzie ziemia i żelazo, pomieszane wszystko?
A monety przepadły gdzieś ukryte w dole.
Koncentrował się. Na twarzy pobladły
Żelazną tacą prosto w środek mierzył.
Rozbryznięta się ziemia, gdy wreszcie uderzył
A błyszczące monety na lemiesz upadły.
Jeszcze grającym nie wygasły chęci
Choć spór rozstrzygnięto o monet podziały.
Co na tacach, pod tacami i obok leżały?
Bo na ubitej ziemi nowa pula nęci.
Kto dziś pamięta tamte gry tacami?
Odeszli chłopcy gdzieś w strony nieznane.
Tylko odłamki czasu tam porozrzucane
W sielskim Las Vegas tkwią za stodołami
Pół wieku minie nim je, kto pozbiera
A co zdoła wykrzesać z bolącej pamięci
W wir wydarzeń dawno zgasłych wkręci,
Starym piórem przenosząc na dysk komputera.

Moc truchleje

Anioły jeszcze wtedy latały po niebie, ale pierwszy radziecki sputnik od 4 października biegający po ziemskiej orbicie zapowiadał rychłe zastąpienie lustratorów niebieskich przez nową generację obserwatorów życia na ziemi tym razem w postaci statków kosmicznych stworzonych przez naukowo-techniczny potencjał ludzki. Przepędzenie z przestrzeni kosmicznej anielskich zastępów oznaczało wielki krok na drodze do zwycięstwa ateizmu nad religią zdefiniowaną przez klasyka komunizmu, jako opium dla mas. Na razie jednak mało, kto wierzył w orbitujące, radziecki sputniki a mało, kto nie wierzył w Anioły Pańskie. Nie szkodzi, że były niewidzialne tak samo jak pierwsze satelity, bo ich obecność w życiu ludzkim odczuwało się na każdym kroku i nic nie mogło stać się bez ich udziału. Nie było, więc możliwości, żeby rocznica Bożego Narodzenia mogła się obyć bez anielskiej asysty. Te szlachetne byty astralne musiały się cieszyć na widok mieszkańców Woli idących po śniegu przez ciemność grudniowej nocy. Wszystkie wydeptane w śniegu za dnia ścieżki służyły teraz ludziom idącym tylko w jednym

kierunku. W stronę kościoła nazywanego jeszcze z przyzwyczajenia kaplica, choć osiem lat minęło od ustanowienia tutaj nowej parafii. Największy ruch panował na ulicy Wesołej gdzie zbiegały się drogi parafian z Folwarku, Krężnej i Wygody. Z tego miejsca odległość do świątyni mieściła się w zasięgu rzutu kamieniem. Tuż przed północą w kościele panował taki ścisk, że mury omal nie popękały w wapiennych spoinach. Nie było tu klasycznych kościelnych ław. Nieliczne ławki stały pod ścianami a zasiadali na nich staruszkowie, którzy ryzykując zasłabnięciem wybrali się jak za młodych lat na tradycyjną, nocną pasterkę. W innych okolicznościach te same ławki pospinałe specjalnymi haczykami tworzyły konstrukcję, która okryta dywanem pełniła rolę katafalku. Półmrok schodził w dół od wypukłego sklepienia na ludzką ciżbę oczekującą na początek uroczystości. Kult tego miejsca skutecznie tłumiał ochotę do rozmów. W tym wielkim oczekiwaniu słychać było, choć rzadko ciche odgłosy wycierania zakatarzonych nosów, jakiś stłumiony kaszel, szmery ocierających się o siebie ubrań i odgłosy przestępowania z nogi na nogę. Czasem zaskrzypiała deska w podłodze. Drewniana ciepła podłoga chroniła nogi przed przemarzeniem, o jakie łatwo było w świątyniach z zimnymi, kamiennymi posadzkami. Bliżej ołtarza po prawej stronie nawy zgromadziły się kobiety. Wzdłuż lewej ściany i pod chórem na tyłach kościoła dominowali mężczyźni, jakby się chcieli ukryć przed surowy, czujnym okiem księdza Jana Brachowskiego. Blisko prezbiterium zajmowały miejsce dzieci może, dlatego, że czyste sumienia pozwalały im patrzeć prosto w oczy proboszczowi. Jak okiem sięgnąć stali parafianie w wielkiej zgodzie, ramię w ramię, głowa przy głowie. Gdyby Anioł Pański naprawdę lustrował tłum wiernych w kościele bez trudu dostrzegłby całe wolskie klany: Banaszczyków, Gąsiorów, Ogrodniczaków, Kuciapów, Alberciaków, Kazubów, Moryków, Mielczarków, Grzączkowskich, Błaszczaków, Błaźniaków, Szczepaników, Ałaszewskich, Lalków, Merków, Musiałów, Krakowiaków. Obok siebie stali ojcowie i dzieci, dziadkowie i wnuki, matki i córki, babcie i wnuczki. Charakterystyczny wyglądem wyróżniali się z tłumu: wzrostem Wacek Warchoł pilot szybowcowy, pokaźną łysiną Szulc Wojciech z Bałut a szykiem i elegancją Kasia Mielczarkowa. Wszyscy razem i każdy z osobna czekali niecierpliwie na dzwonek oznajmiający początek nabożeństwa. Zanim to nastąpiło wyszedł z zakrystii kościelny Adam Kowalski z wystudiowanym, uduchowionym wyrazem twarzy i przy pomocy knota osadzonego na końcu długiego kija przeniósł płomień na knoty świec osadzonych w ozdobnych lichtarzach, wysoko tuż pod obrazem Serca Jezusowego. Światło świec zamigotało przed postacią Chrystusa z gorejącym sercem. Chwilę później za naciśnięciem pstryczka elektryczka z dwóch żyrandoli zawieszonych pod sklepieniem spadła jasność na głowy wiernych. Przez tłum przebiegł jakiś podobny do elektrycznego impuls, ale zamarł natychmiast równo z przenikliwym głosem srebrzystych dzwonek sygnaturki zawieszanej przy drzwiach do zakrystii. Z tych otwartych drzwi wyłonił się najpierw nieduży chłopiec w białej komży ozdobionej czerwoną pelerynką. Za nim szli inni kolejno, według wzrostu a na końcu najstarsi wiekiem i rangą ministranci: Stasiek Kowalski i Zdzisiek Sobala, obaj z Bałut, obaj w zielonych pelerynkach. Tuż za nimi szedł dostojnie ubrany w białą nieskazitelnie odprasowaną albę i jasny zdobiony złotym haftem ornat ksiądz Jan Brachowski z kielichem liturgicznym w dłoniach opartych na piersiach. Kapłan zajął miejsce naprzeciw tabernakulum mając po obu stronach ministrantów z wypisanym na twarzach wzruszeniem wywołanym powagą i doniosłością rozpoczynającej się liturgii. Ksiądz zgiął kolana nad pierwszym stopniem schodków wiodących do ołtarza a razem z nim służący do mszy ministranci. Zanim jednak dokładnie oparli kolana na wzorzystym, czerwonym dywanie zdrząły mury kościoła i wypełnił go rozdzierający, metaliczny głos trąb wyrzucony z blaszanych wnętrz lśniących polerowanym mosiądzem trąbek, altów, puzonów, waltorni i ogromnych basów, podrasowany dodatkowo świdrującym piskiem klarnetów. – Bóg się rodzi. Moc truchleje. – Zabrzmiała z wielką mocą wysoko na galerii chóru orkiestra dęta a ludziom zabiły mocniej serca i ciarki przeszły po plecach. Nikt z obecnych w świątyni nie wątpił w tej podniosłej, że Chrystus narodził się naprawdę nie tylko przed dwoma tysiącami lat w dalekim Betlejem, ale tu i teraz w ich świadomości. Boże Narodzenie jak zawsze poprzedzał adwent. Wraz z nim zaczynały się roraty odprawiane o piątej rano. Roraty nie miały praw

odbyć się bez udziału naszej kochanej babci, dla której męka codziennego wstawania o czwartej trzydzieści miała się nijak w porównaniu do zasłużonej dumy czerpanej z uczestnictwa w tych niezwykłych, można by powiedzieć kultowych nabożeństwach. Natomiast wstawanie o tej godzinie było gehenną nie do opisania dla jej najstarszego wnuczka. Nie ma, co ukrywać lubiłem pospać rano, co można by częściowo usprawiedliwić naturalną, typową dla ludzi młodych potrzebą dłuższego snu. Trudno było przełamać ten wielki, wewnętrzny opór przed opuszczeniem ciepłego łóżka w słabo ogrzewanym pokoju. Skoro jednak marzyłem wcześniej, żeby zostać ministrantem musiałem codziennie od nowa przełamywać swoją słabość i niechęć do wstawania w połowie nocy i wychodzenia w mroźną ciemność na drogę do kościoła, którym nie było wiele cieplej niż na dworze. Różnica polegała głównie na tym, że w przemarzniętych murach nieogrzewanego kościoła przynajmniej nie hulał wiatr. Przełamywałem ten naturalny opór, żeby nie zawieść zaufania babci i lubianego powszechnie księdza proboszcza. Młodej parafii nie stać było na utrzymanie kościelnego na pełnym etacie. Wypełniający te obowiązki Adam Kowalski mieszkający z rodziną w dwurodzinnym drewniaku na Bałutach, po sąsiedzku ze szkołą był pracownikiem Fabryki Chemicznej. W kościele bywał w niedziele i święta oraz po fajerancie. Rankiem każdego powszedniego dnia księdzu pomagali ministranci. Jedną z ważniejszych czynności była pomoc księdzu w ubieraniu się w szaty liturgiczne. Obowiązująca liturgia mszy świętej wymagała włożenia na sutannę długiej do kostek białej alby. W zwykłej komży nie wolno było kapłanowi celebrować mszy. Obszerną jak spadochron albę należało obciągnąć gładko z przodu a z tyłu ułożyć w fałdy. Z fałdami ministrant nie zawsze mógł sobie poradzić. Proboszcz był zaś znany, jako nerwus i choleryk i choć gołębiego serca bywało, że potrafił się wkurzyć, gdy coś nie szło po jego myśli. Zdarzyło się także mnie dość długo i nieskutecznie modelować fałdy. Ksiądz Jan znosił czas jakiś moje nieudane próby aż wreszcie nerwowym ruchem odsunął mnie na bok i energicznym szarpnięciem sam usiłował coś poprawić, żeby ten nadmiar tkaniny nie wystawał spod ornatu jak napuszczony balon. Wiadomo jednak, że nerwowa szamotanina nie przynosi dobrych rezultatów, musiał, więc ksiądz przywrócić mi godność garderobianego, bo sam z oporną materią nie mógł sobie poradzić. W kościele było anielsko zimno, bo przecież nie piekielnie. Komżę z trudem, bo z trudem, ale udawało się naciągnąć na palto. Najdotkliwiej marzły dłonie i uszy. Dobrą stroną przebywania w mroźnym wnętrzu świątyni była przerwa w katarze. Pozostawialiśmy świątynię lekko zasnutą mgłą, ubocznym produktem oddychania kobiet śpiewających pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze. Z zamarznętego nosa zaczynało kapać dopiero po powrocie do domu. Z początkiem grudnia dni są tak krótkie, że ciemność zapada zaraz po obiedzie a nadmiar ciemności może doprowadzić człowieka do stanu potwornego znużenia łatwo przechodzącego w depresję. Wieczne bajdurzenia, straszenie tajemniczymi stworami, duchami pokutującymi za grzechy i diabłami działało zbawczo na psychikę, ale tylko do pewnego czasu, bo ze strachem można się powoli oswoić. Nic, więc dziwnego, że z wielką radością witały dzieci początek przedświątecznych przygotowań. Zaczynało się wszystko w dniu, kiedy dziadek Wojciech przynosił ze strychu wielkie tekturowe pudło z przeróżnymi cackami zdjętymi z zesłorocznej choinki. Zbliżał się koniec szczególnego dla naszej rodziny roku. Później okazało się, że zaczynał jedyną dekadę, przez którą dane nam było żyć w komplecie. Razem: dziadkowie, rodzice i my dzieci. Cała czwórka szczęśliwych dzieci. Danusia miała już osiem lat. Codziennie przed wyjściem do szkoły mama zaplatała w warkocz jej piękne, gęste, falujące włosy. Tak było niezmiennie przez wiele następnych lat. Marek nadal chodził do przedszkola w pałacu Szpilfoglów. W ten sposób na kilka godzin znikał z oczu siostrze, która była jego cierpliwą, ale też surową opiekunką. Jeśli tylko długowłosej braciszek coś spsocił otrzymywał od Danusi ostrą reprimendę. Zdarzało się nawet, że wychowawczo musiała użyć przemocy. Chłopiec bronił się wtedy, wierzgał nogami, lecz nie udawało mu się uratować przed położeniem na kolano i dwoma trzema klapsami w tyłek. Tekturowe pudło po dokładnym odkurzeniu wędrowało na kuchenny taboret, żeby wygodnie wyjmować ozdoby na stół do przeglądu. Mama wyciągając z pudła choinkowe cuda musiała oganiać się przed niechcianymi pomocnikami. Nadaktywna dzieciarnia mimo obietnic i zaklęć mogła potłuc bombki

choinkowe, które były tyleż drogie, co delikatne. Właśnie z tych powodów nie było ich nigdy na choince według potrzeb, tylko według możliwości finansowych naszej rodziny. Najwięcej rabanu robił imiennik dziadka Wojtuś, który uczył się dopiero chodzić, co wcale nie przeszkadzało mu napierać na pudło. Mama jednak do melanżu nie dopuszczała. Każde z nas otrzymywało zadanie na miarę manualnych i twórczych przy renowacji zabawek, często nadszarpniętych zębem czasu. Zawieszane na świątecznym drzewku musiały wyglądać jak nowe. Tylko Wojtuś z powodu naturalnego w jego wieku zamięłowania do psucia wszystkiego, co znajdzie się w zasięgu jego rączę a nie jest dostatecznie twarde i mocne został nieodwołalnie odsunięty i mimo dąsów i płaczu wylądował w swoim łóżeczku. Kiedy opadł pierwszy entuzjazm okazało się, że roboty starczy dla wszystkich, na co najmniej kilka następnych dni a konkretnie wieczorów. Tego roku przypadło odnowić łańcuch o długości niezbędnej do wykonania spiralnego splotu wokół choinki, począwszy do gwiazdy na samym czubku aż po najniższe, najdłuższe gałęzie. Tak naprawdę to ze starego łańcucha zostawał tylko element nośny z mocnej, szewskiej dratwy, długiej na kilkanaście metrów. Na ten cienki sznur nawlekało się zewnętrzną obudowę z kilkucentymetrowych słomek rozdzielanych krążkami wyciętymi z różnokolorowych arkuszy karbowanej bibułki. Słomę przynosił ze stodoły dziadek, wyselekcjonowaną ze snopa pszenicy, złocistą, gładką, lśniącą. Odnowę przechodziły też anioły i baletnice, ich korpusy były oblekane w nowiutkie sukienki z białej bibułki. Wymianie podlegały też poszarzałe i przyniszczone główki aniołów na nowe zakupione w sklepie papierniczym. Aniołki miały buzie i skrzydełka wydrukowane kolorową farbą na gładkim, klejącym papierze. Nie mogło być choinki bez gwiazd. Największą zawieszało się na samym czubku drzewka, gdzie symbolizowała tę betlejemską wskazującą drogę do stajenki. Gwiazda cieszyła blaskiem odbitym od pokrywającej ją srebrzystej foli nazywanej powszechnie złotkiem. Folia była droga i trudno dostępna, dlatego pozostałe wycięte z tektury gwiazdki zdobiono posypywanym na klej kolorowym, rozdrobnionym szkłem z przypadkowo potłuczonych bombek. Nic się nie marnowało. Były też gwiazdki przestrzenne, trójwymiarowe, misternie wyplecione z wąskich pasków białego papieru. Z kolorowego papieru klejącego zręczne ręce potrafiły wyczarować zmyślne zwierzątka, pajacyki i koszyczki na orzechy. Klejący papier podobnie jak karbowaną bibułkę kupowało się w sklepie. Tektura pochodziła z odzyskanych, kartonowych opakowań nabytych od sklepowej za jakieś niewielkie pieniądze. Długie, cienkie jak mały palec cukierki produkowane z myślą o choince mieniły się kolorowymi papierkami pod błyszczącym celafonem. Właśnie cukierki najwcześniej znikwały z drzewka. Nijak nie mogły dotrzeć do święta Trzech Króli. Po cukierkach przychodziła kolej na wypiekane przez babcię kruche ciasteczka o przeróżnych kształtach a potem na jabłka i orzechy. Nikt nie widział, żeby ktokolwiek zrywał z choinki łąkocie a jedna z dnia na dzień było ich coraz mniej.

Choinkowe dni miały niedługo nastąpić, ale dopiero po zakończeniu żmudnych przygotowań do świąt, wśród których ubieranie drzewka świerkowego, choć miłe i ciekawe nie było wcale najważniejsze. O wiele ważniejszą była młocka i mielenie zboża na mąkę, która obok ziemniaków zgromadzonych w piwnicy i becзки kiszonej kapusty stanowiła podstawę wyżywienia rodziny podczas jak zawsze trudnej i nieprzyjemnej ludziom zimy. Dziadek Wojciech od lat już nie walił cepami w snopy ułożone na klepisku stodoły. Nastąpiła, bowiem w Woli era silników spalinowych i młockarń oznakowanych literami, MSC, czyli maszyn szerokomłotnych, czyszczących. Wychodziły też z mody tak zwane targanki, czyli prymitywne młockarnie nieposiadające wialni oddzielających ziarno od plew. Nowoczesna, wysoko wydajna młockarnia wymagała do obsługi siedmiu, ośmiu zwinnych i mocnych ludzi podających snopy oraz odbierających ziarno i słomę. Przy podawaniu snopów zboża pracowały na ogół kobiety, gdzie praca była rzekomo lżejsza. Mężczyźni zajmowali się dozowaniem snopów zboża maszynie oraz odbiorem i wiązaniem pozbawionej już ziarna słomy. Posortowane przez maszynę według wielkości ziarno odbierał we workach na ogół sam gospodarz. Młocka ruszała wraz z nastaniem mrozów. Sądzone, bowiem, że podczas mrozów słoma jest suchsza, co przekłada się na większą ilość pozyskanego ziarna. Grudzień na ogół bywał mroźny nic, więc dziwnego, że każdego dnia od wczesnego ranka do zmierzchu

niósł się po wsi charakterystyczny warkot diesla połączony z klapaniem pasa transmisyjnego i głośnym buczeniem rozdygotanej młockarni. Przy warczących jak sto diabłów silniku stał Wojciech Szulc, mąż Leokadii najmłodszej z ośmiorga rodzeństwa Banaszczyków. Wuj Szulc był właścicielem całego zestawu do omłotów. Jakiś czas jego współnikiem był mój ojciec Albin, Dajcz, który pierwszy sprowadził do wsi maszynę, ale ze względu na niełatwą współpracę z kontrowersyjnym wujem wycofał się i odsprzedał mu swoje udziały.

Im bliżej było świąt tym większy ruch panował w młynach. Dziadek Wojciech wiedząc o tym z wieloletniego doświadczenia nie czekał na lepszą pogodę ani na specjalną okazję tylko ładował na furę kilkanaście ciężkich worów ziarna i już następnego ranka wyruszał do Jezowa. Postępował z niepodważalną u niego maksymą: Nie odkładaj na jutro czegoś, co możesz zrobić dzisiaj. Zawsze tak postępował, choć nigdy o tym nie mówił. Dlatego jeszcze przed nastaniem dnia stał na początku długiego sznura wozów tuż przy rampie wodnego młyna. Palił papierosa i dla rozgrzewki przytupywał nogami po twardej, zamrożonej grudzie. Młyn już pracował. Warczał i chlapał wodą. Odlodzone, ogromne młyńskie koło stawiało tęgi opór spadającej z wysokości stawidła toni rozbryzgując wokół białą pianę. Głuch terkotał drewniany wał obracany siłą wyzwoloną z nurtu rzeczki. Skrzypiał mechanizm napędowy obracający stalowe walce rozdrabniające ziarno. Strumień miękkiej przecież wody napędzał znacznie twardsze drewno, które z kolei poruszało urządzenia wykonane z jeszcze bardziej twardego żelaza. Zmielone już ziarno rzucane na ruchome sita dzieliło się pół na pół na grube otręby i miazgę, bieluską mąkę. Gotowe produkty pracy młyna spadały drewnianymi rurami do podwieszonych u ich wylotu worków.

Wojciech Motyka zgasił w śniegu niedopałek sporta. Dobiegał już siedemdziesiątki i chorował na astmę, ale nadal palił papierosy. Była to jedna z jego nielicznych słabości, której nie mógł a może nie chciał przezwyciężyć, choć ataki astmy były coraz cięższe i zdarzały się coraz częściej. Może działała nań skutecznie siła półwiekowego nawyku a może niechęć do rezygnacji z tych chwil satysfakcji i wewnętrznego spokoju wywołanego tym swoistym rodzajem obrzędu składającego się z rutynowego sięgania po skórzaną papierośnicę, dzielenie papierosa na dwie części, umocowania połówki w szklanej cygarniczce a potem błyski zapałki i niemal rytualne wciąganie dymu do płuc. Nie myślał jednak o skutkach nałogu gasząc niedopałek na widok młynarza, który właśnie ukazał się w drzwiach niczym biały anioł, cały w mące. Biały człowiek białą ręką dał mu znak, że czas już przystąpić do ważenia ziarna. Wojciech sporo miał jeszcze krzepy, którą zasłynął za dawnych lat. W sam raz tyle, żeby donieść i ułożyć po kolei na wadze kilkanaście sporych worków zboża we wnętrzu budynku, który drgał rytmicznie w takt obrotów młyńskiego koła panował taki hałas jakby stado diabłów tłukło się pod podłogą.

Nasza Babcia Marysia wyglądała z obiadem na męża. Niecierpliwiła się i różne złe myśli przychodziły jej do głowy. Taka już była. Liczyła godziny, przecież wyjechał prawie w nocy a obiecał wrócić na obiad. Ukradkiem wychodziła do pokoju skąd wyglądała przez okno w kierunku skrzyżowania Wesołej z ulica Kościuszki skąd powinien wyłonić się zaprzęg Wojciecha. Z każdym kwadransiem rósł jej niepokój. Miała już zacząć głośno narzekać i ubolewać nad jakimś domyślnym nieszczęściem, które mogło spotkać naszego dziadka i przeszkodzić mu w powrocie do domu w zapowiedzianym czasie. Wtedy właśnie za oknem rozległo się charakterystyczne parskanie konia okazującego zadowolenie z powrotu do zagrody. Na ten znak, kto żyw skoczył do drzwi, żeby podzielić się z gospodarzem radością z jego powrotu. Babcia zaraz zapytała czy udała się mąka? – Sama zobacz – rzucił krótko dziadek i zajął się w pierwszej kolejności koniem zmęczonym ciągnięciem sporego ładunku po wyboistej drodze. Należało, co prędzej zdjąć mu uprząż, nakarmić i napoić. Taka była Obowiązująca kolejność rzeczy, bo dobry gospodarz nigdy nie zasiadł do posiłku przed nakarmieniem swoich zwierząt. Babcia po kolein rozwiązywała worki. Nasypywała sobie po odrobinie mąki na dłoń oceniając jej miazgłość, czystość i biel. Nie kryła zadowolenia. - Nie zginiemy tej zimy, starczy na chleb codzienny i ciasto świąteczne – powiedziała.

Z dna na dzień wzrastała gorączka przedświątecznych przygotowań. Wigilia tego roku wypadła we wtorek. Siłą rzeczy, więc niedziela była tym dniem, w którym przedświąteczne roboty wchodziły w decydującą fazę. Zaraz po mszy porannej babcia i mama zajęły się pieczeniem chleba. Na podwórku dymiła stara, blaszana beczka. Śnieg topniał wokół ognia rozpalonego w małej kotlinie wykutej w grudzie. Siwy dym pchał się do środka beczki, gdzie kłębił się wokół dorodnych, wieprzowych boczków i przez jutowy worek przeciskał się na podwórko. Ojciec stał obok tej zaimprovizowanej wędzarni i regulował siłę ognia długim kijem przesuwając szczapy olchowego drewna. Proces wędzenia wymagał utrzymania w prymitywnej wędzarce optymalnej temperatury przez kilka godzin. Zbyt wysoka temperatura niechybnie naraziłaby przyszłą wędzonkę na wytopienie tłuszczu. Najgorsze, co mógł usłyszeć wędzarcz to odgłos skwierczenia charakterystyczny dla słoniny topionej na patelni do okrasy zalewajki. Drugą skrajnością było wygaśnięcie ognia. Nie do pomyślenia było dopuszczenie do zmarnowania drogiego, trudno dostępnego mięsa. Z tych powodów ojciec musiał czuwać nad przebiegiem wędzenia pilnując ognia jak oka w głowie. Stały nadzór nad wędzarnią zapobiegał też skutecznie ewentualnej kradzieży świątecznych dobroci, głównie przez wałęsające się po wsi psy zwabione smakowitym zapachem wypełniającym powietrze. Brak opieki nad dymiącą beczką mógł zachęcić włóczące się w poszukiwaniu pożywienia wielkie psisko do zrujnowania wędzarni i szybkiej ucieczki z jej zawartością. Nie było wprawdzie w Woli plagi bezpieczeństwa psów, niemniej było kilka takich, co specjalizowały się w złodziejskim fachu. Wśród nich wodził rej groźnie wyglądający wilczur o rozmiarach sporego cielaka. Na ogół unikał zwady z ludźmi, ale mógłby pogryźć człowieka gdyby poczuł się zagrożony. Ten pies wiele już szkód poczynił w wiejskich zagrodach. Doskonałym węchem nieomylnie lokalizował miejsca uboju zwierząt gospodarskich. Przychodził nocą i otwierał sobie drzwi naciskając na klamkę. Ta umiejętność wystarczała, żeby dostać się do sieni domu, bo mało, kto zamykał na noc drzwi na klucz. Potrafił też sforsować zamknięcie komórki, albo się podkopać. Łupem włamywacza padało mięso z uboju. Był tak silny, że bez problemu wynosił całą szynkę. Pewnej nocy wyniósł z naszej sieni dudy ubitego wieczorem barana. Ojciec pewien, że pies znowu na odwiedzi pozostawił na przynętę kawał mięsa. Nie mylił się. Niespełna godzinę po zgaszeniu świateł dał się słyszeć w sieni głośny rumor. Po zapaleniu światła okazało się, że wilczur miotał się jak oszalały, ponieważ przypadkowo zatrzasnął za sobą drzwi. Ojciec próbował go wypuścić, ale czujący zagrożenie pies zjeżył sierść i szykował się do ataku. Na pomoc pośpieszył dziadek z siekierą. Wtedy ojcu udało się otworzyć drzwi. Pies rzucił się do ucieczki a dziadek chcąc dodać mu strachu uderzył za nim siekierą w drewniany próg. Ostrze siekiery błysnęło w świetle żarówki. Uderzenie musiało być szybkie, bo uciekający złodziej pozostawił na progu kawałek własnego ogona. Tak zakończyła się ostatnia wizyta w naszym domu włamywacza na czterech łapach. Wilczur nie zrezygnował jednak całkiem ze swoich nocnych wypraw. Może, dlatego, że właściciel nie był w stanie go wyżywić, albo ze skąpstwa oszczędzał na wyżywieniu psa. Ludzie w Woli dziwili się, że jest kusy i gadka szła przez wieś, że ktoś zemścił się na Wojciechu Szulcu oszpecając jego psa. Ojciec nigdy nie przyznał się wujowi, że jego puszczone na pastwę losu ulubieniec stracił część swego ogona na progu naszego domu. Takim rozmyślaniem skracał sobie czas Albin, Dajcz w oczekiwaniu na moment, kiedy wędzone boczkę nabiorą odpowiedniego zapachu i smaku. Wędzenie byłoby nawet zajęciem lekkim, łatwym i przyjemnym, gdyby nie dotkliwie zimno przenikające człowieka do szpiku kości podczas długiego stania na mrozie.

Wieczorem dnia poprzedzającego wigilię zapachniało w domu głębią Wolskiego Lasu, wilgotnym aromatem mchów i paproci, wonią opadłego igliwia, liści zaplątanych w gęstwinie wrzosów, drobnych krzewinek borówek i jagód i tajemniczym, mdłym zapachem wszechobecnej, niewidzialnej dla oka grzybni. Cała ta feeria zapachów wsparta żywicznym tchnieniem okazałego świerka zwiastowała prawdziwy początek Bożego Narodzenia. Dziadek Wojciech obsadził drzewko jak zawsze w otworze drewnianego klocka przybitego dwoma gwoździemi do wypastowanej w kolorze egzotycznego podłogi obok okna wychodzącego na podwórko. Miejsca wysokiej do sufitu choince ustąpił drewniany kwietnik

przeniesiony tymczasowo w zupełnie inne miejsce. Solidnie zamocowany świerk gotów był wytrzymać napór strojącej go dzieciarni Ubieranie choinki nie było czynnością wykonywaną w ramach demokracji ze względu zamienić ten świąteczny symbol w wieszak na rupieciarnię. Niekwestionowanym szefem operacji choinka była mama ku zadowoleniu ojca, który dekorowanie zaliczał do zajęć przeznaczonych dla kobiet, jako prawdziwy mężczyzna nie chciał mieć z tym zajęciem nic wspólnego, po części też, dlatego, żeby nie narazić się na kpiny wuja Marcina słynącego z ciętego języka. Dzieciom przypadała rola pomocników. Mamusia miała swój przez lata dopracowany projekt wystroju drzewka. Samo strojenie nie było dla niej uciążliwe, raczej przyjemne. Gorzej było z kierowaniem brygadą pomocniczą wykazującej aktywność daleko większą od požądanej. Najwięcej uwagi musiał poświęcić na powstrzymywanie trojga zafascynowanych, napierających z całą siłą na cacka stroicieli. Było to zadanie tym trudniejsze, że każde dziecko z osobna miało własną, różną od pozostałych wizję twórczą i usiłowało za wszelką cenę nadać jej kształt materialny. A jeszcze trudniej było powstrzymać Wojtusia, który nie godził się na żadne rygory i zachowywał się według znanego porzekadła: Hulaj dusza, piekła nie ma. Nieudane próby nad jego nieokiełznaną swawolą zakończyły się uwięzieniem go w dziecinnym łóżeczku mimo zdecydowanych protestów ze strony malca. Mama była jednak nieugięta a Wojtuś czując bezskuteczność swoich wrzasków i biadolenia uspokoił się po pewnym czasie. Niewątpliwie w osiągnięciu równowagi duchowej po bolesnym wyeliminowaniu z zespołu dekorującego pomógł mu długi, choinkowy cukierek, zbyt duży, żeby mógł się nim zakrzusić lub zrobić sobie jakąś inną krzywdę. Ubieranie choinki było wzruszającym i podniosłym aktem kończącym wszechobecny, przedświąteczny bałagan. W domu pachniało czystością będącą efektem długich i żmudnych przygotowań. Główne animatorki tej przemiany: mama i babcia przywróciły już gołym oknom rolety i firany. Na stoły powróciły dawne obrusy, ale bielsze niż kiedykolwiek wcześniej. Nakrochmalona bielizna pościelowa delikatnie chrzęściła w dotyku. Co miało być wyprane zostało wyprane, wykrochmalone, wysuszone na strychu, wymaglowane u Lasoty na Bałutach, albo dokładnie wyprasowane żelazkiem. W całym domu pachniało świeżym wypiekami. Leżały obok siebie duże bochny chleba, drożdżowe placki przybrane kruszonką i zawijane makowce, Silniejszy jednak od zapachu pieczywa była woń wędzonki przyprawiająca o ssanie w dołku po czterech tygodniach ściśle przestrzegane go postu. Ubieranie świątecznego drzewka dopełniało cały cykl działań, których celem ostatecznym było umieszczenie domu w orbicie świąt, nasycenie niepowtarzalną atmosferą Bożego Narodzenia. Powieszenie na gałązce drzewka ostatniej bombki było równoznaczne z zakończeniem przygotowań a zapalenie pierwszej świeczki wprowadzało do domu świąteczny nastrój przed najważniejszym, najbardziej rodzinnym świątecznym misterium, przed wigilijną wieczerzą.

Od wigilii dzieliła nas jeszcze jedna długa noc. Po niej nadszedł mroczny poranek zwiastujący, szary grudniowy dzień. Niby taki sam jak poprzednie dni. Tak samo przenikliwie zimny jak wczorajszy, ze złym wiatrem wciskającym się pod wełniane nauszki Przyczajony w powietrzu mróz szczypał w koniuszki uszu, barwił karminem nos i policzki. Już kilkanaście minut po wyjściu na dwór nos ni stąd ni zowąd zaczynał przeciekać a zziębnięte uszy nieznośnie swędziły po powrocie do ciepłego mieszkania. Buty ze świńskiej skóry z nieznośną łatwością oddawały światu ciepło stóp nawet przez dość grube wełniane skarpety. Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało, że Wola wkrótce oblecze się w świąteczne barwy. Nie było widać, bo pięknie przybrane choinki ukryte za firankami nie zajaśniały jeszcze żółtym blaskiem świec i kaskadami skaczących iskier zimnych ogni. Jednak w tym szczególnym dniu coś magicznego unosiło się w przestrzeni naszej wsi. Coś, czego nie dało się zobaczyć, dotknąć i nazwać. Musiało, więc to być jedno z tych zjawisk niewidzialnych, które posiada moc przemiany rzeczy całkiem prozaicznych w fascynujące. Taka właśnie nadzwyczajna, magiczna siła zmieniła zwykły grudniowy dzień w podniosłe święto.

Danusia z Markiem wypatrywali pierwszej gwiazdki na niebie wyglądając po kolei przez wszystkie okna w domu. Dzieci niecierpliwiły się w oczekiwaniu na wigilijną kolację wierząc się i kręcąc nieustannie w

samym centrum kulinarnych przygotowań ku utraceniu mamy. Babcia utyskiwała nieprzerwanie drżąc z obawy na myśl, że mogą sobie zrobić jakąś okropną krzywdę, na przykład wylewając na siebie garnek gorącej zupy albo dotykając do rozpalonej płyty kuchennej. Na szczęście nic takiego się nie wydarzyło, choć o kolizję w pełnej domowników kuchni trudno nie było. Od bukietu zapachów bijących od wigilijnych dań wszystkich domowników zaczynało ssać w żołądkach. Nic dziwnego, bo od śniadania minęło już 10 godzin. W najgorszej sytuacji byłem ja sam, ponieważ poprzedniego dnia mocno się chwaliłem, że w wigilię nie będę jadł aż do momentu przełamania opłatka przed wigilijną wieczerzą. Podejmując dość niefrasobliwie zobowiązanie nie miałem pojęcia jak trudno mi będzie dotrzymać tej złożonej wobec rodziny obietnicy. Ale udało się i już! Natomiast żadnych problemów z postem nie miał Wojtuś, który regularnie opróżniał butelkę napełnianą przez mamę mianą na mleku.

Wreszcie się zaczęło. Do mieszkania wszedł dziadek niosąc zwitek pachnącego letnią łąką siana, aby położyć pod biały obrus okrywający bejcowany ciemną farbą solidny, drewniany stół. Zapachniało nad stołem gorącą zupą z owocowego suszu do makaronu domowej roboty. Zanim jednak pierwsza łyżka zdołała brzęknąć na fajansowym talerzu babcia podzieliła opłatek na osiem listków i podziękowała Panu Bogu za wszystkie doznane dobrodziejstwa czyniąc znak krzyża ze słowami: W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Po tym znaku łamaliśmy się opłatkiem, każdy z każdym składając sobie wzajemnie życzenia, jak kto potrafił. Wtedy właśnie w sposób szczególny ujawniały się rodzinne więzi, Objawiał y się trudnym do ukrycia wzruszeniem, łamiącym się głosem, skrywaną łzą. Uczucia ukryte, na co dzień pod szczelną warstwą szorstkości wychylały się spod płaszcza kamuflażu jak miękkie ciało ślimaka spod twardej wapiennej skorupy. Odkrywanie tajników własnego wnętrza nikomu łatwo nie przychodziło a szczególnie nam dzieciom, dlatego naszym pragnieniem było przebrnąć przez ten rytuał jak najszybciej. Prześlizgnąć się jak najmniejszym kosztem. Dodatkowym motywem zniechęcającym była obawa, niekiedy uzasadniona, że rodzice składający nam życzenia nie powstrzymają się przed udzieleniem nam przy tej okazji choćby delikatnej reprimendy i zachęty do popracowania nad słabszymi stronami naszej osobowości.

Patrzyłem na mamusię. Niespełna dwa lata po urodzeniu ostatniego, swojego dziecka w wieku trzydziestu pięciu lat była nadal piękną kobietą i wyglądała na szczęśliwą, ale już podczas lepienia i gotowania pierogów z grzybami zauważyłem dziwne cienie pojawiające się na jej twarzy. Trawił ją jakiś wewnętrzny niepokój chyba z powodu przedłużającej się nieobecności ojca. Wigilia była wprawdzie normalnym dniem pracy, ale ciemność już zapadła a on nie przychodził. Może obawiała się, żeby tradycyjny opłatek pracowników spółdzielni nie przerodził się w jakąś libację. Wreszcie zaskrzypiały drzwi w sieni i po chwili ku uciesze nas wszystkich ukazał się ojciec cały i zdrowy dźwigając trzy pokaźne papierowe torby. Serca zabiły nam mocniej, bo zawartość tych toreb nie mogła być niczym innym jak przeznaczonym dla nas zestawem rarytasów. W istocie tak było. Ojciec przyniósł paczki świąteczne ufundowane przez spółdzielnię dzieciom pracowników. Oprócz tych paczek tatuś trzymał zawiniątko, od którego niósł się wspaniały zapach świeżej kiełbasy. – Dawali po dwa kilo na rodzinę. Musiałem poczekać aż wyjdzie z wędzarni i się zaparzy – próbował nieśmiało usprawiedliwiać się ojciec. Mama nie kryła zadowolenia z paczek i wędliny, ale najbardziej cieszyła się z samego powrotu męża, Ojciec cieszył się szacunkiem nie tylko we Woli i stał na progu lokalnej kariery a mama była z niego dumna i dbała o jego reputację. Po wieczerzy zapłonęły kolorowe, skręcone spiralnie świece a bombki na choince rozbłysły ciepłym, złotym blaskiem, Marek podziwiał szczególnie te, co dostał od Jadzi Szczepanik, swojej chrzestnej. Były naprawdę wyjątkowo piękne. Wzruszonymi z przejęcia głosami zaśpiewaliśmy: Wśród nocnej ciszy...

Szedłem ścieżką wydeptaną w śniegu obok konturów płotu warzywnego ogródka. W oddali majaczyła bryła domu. Jego dwa rozświetlone okna niosły długie smugi światła przez bezlistne korony owocowych drzewek. Wyglądało to tak jakby przez martwy ogród przebijał się jakiś zwałisty pojazd kierując sobie drogę światłami. Do pełnego złudzenia brakowało tylko odgłosów pracy silnika. Ciszy grudniowej nocy

nie zakłócał żaden dźwięk poza dalekim szmerem pracującej fabryki naznaczonym matowym sykiem ulatniającej się gorącej pary wodnej. Domek w ogrodzie należał do Władysława Gąsiora najstarszego wnuka Józefa Motyki. Warzywnik uprawiał jego młodszy brat Stanisław. Właśnie on dbał o ogrodzenie chroniące grządki przed inwazją chodzących samopas kur uzbrojonych w pazury służących do rozgrzebywania ziemi podczas wydobywania smacznych robaków. Płot miał charakter wybitnie sezonowy. Zimą składał się wyłącznie z wystających spod śniegu drewnianych palików i przymocowanych do nich żerdzi. Z wiosną płot się odradzał tworząc gęstą zaporę z zaplecionych między żerdziami puszczających listki gałązek brzozy, pędów leszczyny, kruszyny i wierzby. Po zachodniej stronie podwórka aż po stodołę Błaźniaka pod śnieżną pierzyną spoczywała spora przyzma drewna opałowego. Wśród zalegających pod śniegiem suszków siedziały jak rodziniki w cieście dorodne pnie świerków i sosen. Drewno pochodziło z lasów na Śląsku Opolskim skąd pozyskał je ojciec w zamian za wykonanie cięć pielęgnacyjnych w zapuszczonych do międzywojnia lasach państwowych. Zaczynał się właśnie gomułkowska odwilż, która po latach zamordyzmu wyzwoliła niesłychany potencjał prywatnej inicjatywy gospodarczej. Poluzowanie rygorów przez aparat represyjno-urzędniczy natychmiast zaowocowało powstaniem tysięcy drobnych podmiotów gospodarczych. Była to woda na młyn dla ludzi przedsiębiorczych takich jak Albin Dajcz. Ojciec ani chwili nie wahał się i nie lenił. Wynajął kilku ludzi, uzbroił ich w siekiery i piły i wzięwszy urlop w spółdzielni wyjechał na Opolszczyznę, gdzie po wysiedleniu Niemców panował dotkliwy brak rąk do pracy. Wola odczuwała deficyt drewna, ale ojciec pozbył się tylko drewna opałowego a budulec przeznaczył na zadaszenia do powstającej cegielni w Kacprowie. Tam na północnym skraju wsi znajdowały się rozpoznane pokłady dobrej gliny. Najkorzystniejsze warunki wydobywania surowca były na polu Eugeniusza Krystka. Naprzeciw jego zagrody po zachodniej stronie drogi biegła przez pole dróżka obsadzona dorodnymi drzewami wiśni. Z końcem czerwca rok w rok niezawodnie owe wiśnie zwane szklankami wydawały obfity plon soczystych owoców o niepowtarzalnym smaku. Wzdłuż tej drożyny miała rozlokować się przyszła cegielnia. Ojciec podbudowany dobrym zarobkiem przy przecince lasów dał się ponieść popaździernikowej fali entuzjazmu wywołanego ujawnieniem słynnego referatu Chruszczowa z XX zjazdu KPZR. Częściowe ujawnienie zbrodni Stalina i uwolnienie z więzienia Władysława Gomułki zaowocowało niesłychanym rozbudzeniem aktywności społecznej. Powszechna wiara społeczno-ustrojowy przełom przełamała wieloletnią nieufność Albina Dajcza do komunistycznej propagandy. Może nie dałby się oszukać towarzyszowi Wiesławowi gdyby czytał Trybunę Ludu, ale kto wtedy czytał ten organ prasowy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej? Gazeta ta obok rosyjskojęzycznej Prawdy zalegała wyłożona do czytania we wszystkich urzędach i lokalach użyteczności publicznej przez jakiś dopóki nie skończyła, jako prymitywne opakowanie jakiegoś towaru. Każdy, kto aspirował do miana prawdziwego Polaka nie zhańbił się czytaniem tej gazety uważanej powszechnie za kłamliwą i śmiertelnie nudną. A był to duży błąd, bo ta niechlubnej pamięci gazeta zamieszczała w całości oficjalne przemówienia i wypowiedzi komunistycznych przywódców rządzących w Związku Radzieckim i w Polsce. W dniu 5 listopada 1957 roku ukazał się w radzieckiej Prawdzie a dzień później w Trybunie Ludu artykuł, w którym towarzysz Wiesław stwierdzał bez ogródek. „Wiadomo, iż niezbędnym warunkiem zbudowania socjalizmu jest dokonane po raz pierwszy w ZSRR uspołecznienie kapitalistycznych środków produkcji, stopniowa przebudowa stosunków wytwórczych na wsi, scentralizowana planowa gospodarka socjalistyczna.. Ale nowa droga najeżona jest trudnościami. Siły wsteczne burżuazyjno-nacjonalistyczne wzmogły swą aktywność żywiąc złudne nadzieje, że nastąpi jakiś drugi etap, że Polska cofnie się w kierunku burżuazyjnej demokracji.. Gdyby Albin Dajcz przeczytał te słowa zamyśliłby się nad ich znaczeniem a w jego sercu zagnieździłby się niepokój. Zamiast tą cichą nocą w oczekiwaniu aż fabryczna orkiestra zagrzmie z chóru kościoła na wieść o narodzeniu Boga rozmyślać o sukcesach w nowym, nadchodzącym roku zasepiłby swoją twarz. Nie mogłoby być inaczej skoro towarzysz Wiesław nie pozostawił cienia wątpliwości, że to on Albin jest tą siłą wsteczną jeżącą trudności, choć bez szansy na powodzenia, bo

Przywódcą komunistycznego reżymu nie pozwoli nie tylko na rozwój, ale nawet na przetrwanie prywatnej własności. Władysław Gomułka wiedział, co mówi, bo przecież on dzierżył władzę a cała ta październikowa retoryka to tylko puste słowa obliczone na uspokojenie nastrojów społecznych przyjęta pod presją gniewnych pomruków wzburzonego z powodu totalnej biedy powszechnej beznadziei uciemiężonego ponad wszelką miarę narodu.

Na odgłos szurania butów po zewnętrznej wycieracze wujek Włodek otworzył mi drzwi, Ciotka zdążyła już posprzątać po wigilijnej kolacji. Kuchnia lśniła białością ceramicznych kafli. Pod rozgrzaną do czerwoności żeliwną płytą grzejną buzował ogień. Wyglądało na to, że wujek nie żałował dziś węgla, choć chyba nie mieli go w nadmiarze a zima jeszcze nie ujawniła całej, swojej grozy. Doświadczenie z minionych zim nie pozostawiało cienia wątpliwości, co do tego, że fala tęgich mrozów może zaskoczyć nas w każdej chwili a co gorsze przyjść razem z zamięcią i zaspami na drogach. No tak, ale święta Bożego Narodzenia mają swoje prawa, są wyjątkiem od reguły bezwzględnej oszczędzania. W ten wieczór wigilijny żar bijący od trzonu kuchni całkowicie oczyścił szyby okienne z lodowych ornamentów a nadmiar ciepła wypełniał też pokój przez szeroko otwarte drzwi. Okna w pokoju też były wolne od lodu tylko w dolnych narożnikach szyb tuż nad parapetami pozostały jeszcze niewielkie fragmenty topniejącego szronu, W narożniku niezbyt dużego pokoju rozpychała się sporych rozmiarów choinka dźwigając na sobie cały majdan najprzeróżniejszych cacek. Ozdoby pyszniły się kolorową świeżością w migotliwym świetle obsadzonych w lichtarzykach świeczek i przytwierdzonych do gałązek świątecznego drzewka.

- Włodek to ty? – zapytała swoim dźwięcznym, czystym głosem ciotka Lodka, zanim na dobre przekroczyłem próg i powiedziałem dobry wieczór. Mówiła dalej nie pozwalając sobie przerwać.

- Ale ty rośniesz, ledwie w drzwiach się mieścisz. Będiesz taki wielki jak wujko Motyka.

- U was już po wigilii?- zapytała i nie czekając na odpowiedź kontynuowała swój monolog.

- Widzisz u nas już po wszystkim. Rysiek daleko w świecie. Celina i Edek chodzą• swoimi ścieżkami. Zostaliśmy tylko z Mirkiem – ciągnęła dalej.

Mirek trochę posmutniał. Zawsze tak było, kiedy ciotka z podziwem mówiła o moim wzroście. Ambitny był i chciał przodować we wszystkim, niestety na naszym kultowym podwórku do najwyższych nie należał. Wprawiało go to w bezsilną złość, ale przecież nie miał wpływu na genetyczny zapis, który mu los przy udziale rodziców zgotował. Zupełnie niepotrzebnie się jednak trapił skoro podobnego wzrostu była większość chłopaków we Woli z rocznika 1943. No może gdyby wrodził się do ojca byłby kilka centymetrów wyższy, ale on miał więcej z matki pochodzącej z rodziny Lasotów, która do wysokich raczej nie należała. Ciotka wyróżniała się natomiast niesamowitą ruchliwością, werwą i zdolnościami manualnymi, których nie brakowało też jej najmłodszemu synowi.

Wujek Włodek siedział przy rozgrzanej kuchni i mruczał coś pod nosem. Niewiadomo, o co mu chodziło, bo mówił szybko a dykcję miał fatalną. Dostał, więc od ciotki reprimendę, żeby nie mamrotał tylko się przespał przed pasterką. Wuj Władysław zbyt mocno nie oponował, choć po cichu mruczał coś nadal dopóki nie położył się w pokoju i nie zasnął. O co mu chodziło nikt poza ciotką nie zrozumiał. Nam chłopakom chodziło zaś, żeby nie zasnąć przed pasterką, co byłoby równoznaczne z fatalną katastrofą, czyli z samo wykluczeniem z najbardziej kultowej w roku kościelnej liturgii. Nieobecność na tej nocnej mszy pisała się, jako plama na honorze szpanującego nastolatka. Nie było zbyt wielu sposobów na pokonanie obeh władniającej człowieka senności, jeszcze gorzej było z ich skutecznością. Najbardziej frapującym zajęciem pozwalającym oszukać senność było słuchanie wieści nie z tego świata. Zanim przenieśliśmy się w ten przedziwny wymiar pełen bytów przychodzących z zaświatów zaskrzypiały drzwi w sieni a w izbie zapanowała przejmująca cisza. -To chyba duch – powiedziała ściszym do szeptu głosem ciotka. Jakiś enigmatyczny cień przebiegł jej po twarzy pozostawiając wyraz oczekiwania na coś

ważnego, co za chwilę miałyby się zdarzyć. Nic szczególnego jednak się nie wydarzyło. W sieni rozległo się charakterystyczne przytupywanie, które najwyraźniej miało pomóc pozbyć się śniegu przywartego do butów. Wiadomo już było, że to człowiek, bo duch śniegu z butów otrzepywać nie potrzebuje. Na potwierdzenie przypuszczenia w otwierających się drzwiach pojawiła się sylwetka naszego kolegi Mańka Stępnia nazywanego na wsi Manietą. Wizyta Mańka o tak późnej porze wcale nie była dla Citki zaskoczeniem. Domy Stępników i Gąsiorów dzieliła odległość równa szerokości trzech 9 metrowej szerokości działek rolnych. Latem czy zimą łączyła domy wydeptana ludzkimi stopami ścieżka, szlak wzajemnych odwiedzin i dojście do czynnego całą dobę warsztatu szewskiego Józefa Stępnia. Korzystali z tego szlaku na skróty przede wszystkim mieszkańcy zaułka okalającego piekarnię Jana Ambrozika. Maniek był tylko dwa lata młodszy od Mirka, nic, więc dziwnego, że choćby z racji bliskiego sąsiedztwa byli kolegami od dziecka. Maniek też wybierał się na pasterkę i podobnie jak ja przyszedł tu przeczekać ostatnie godziny przed nabożeństwem, ale być może cofnąłby się z otwartych drzwi, gdyby wiedział, że trafił na początek akcji z duchami. Może tak a może nie, bo ciągnęło go do kolegów, co mogło skutecznie wpłynąć na decyzję mężnego stawienia czoła przybyszom z zaświatów przywoływanych przez Gąsiorkę Lodkę. Tak właśnie nazywano ciotkę u Stępników, którzy dla mieszkańców wsi byli Szewcami z racji wykonywanego przez ojca rodziny zawodu. Tak, więc Maniek był Stępnikiem tylko w szkole a dla kolegów i znajomych pozostawał Mańkiem Szewca albo Manietą aż do czasu, kiedy został oficerem służb specjalnych porucznikiem Marianem Stępnikiem. Jak tylko nasz kolega zamknął za sobą drzwi poprosiłem ciotkę o najnowsze wieści z krany duchów, wyobraźni i fantazji? Tak naprawdę to znaliśmy od dawna wszystkie wątki ciotycznego repertuaru, lecz wcale nam to nie przeszkadzało wsłuchiwać się po raz kolejny w te o dreszcze przyprawiające opowiadania. Co ciekawe historyjki opowiadane przez sympatyczną ciotkę musiały być prawdziwe skoro były podparte zaklęciem: - Jak boga kocham, żebym się z tego miejsca nie ruszyła, jeśli to nieprawda. Słowa te wygaszała mocnym i podniesionym głosem. Po takim zaklęciu nie mogliśmy mieć żadnych wątpliwości do prawdziwości jej słów skoro ciotka nadal pozostawała w pełni sprawna fizycznie i nie traciła rezonu. Swego czasu Leokadia Gąsior zapytała chodzącego po kolędzie księdza Brachowskiego czy prawdą jest, że o północy na wolskim cmentarzu snują się duchy pochowanych tam ludzi? Strapiony tym pytaniem ksiądz Jan miał trudny orzech do zgryzienia, bo nie mógł potwierdzić ani zaprzeczyć. Proboszczowi nie wypadało, bowiem straszyć duchami swoich parafian, ale też nie mógł istnieniu duchów zaprzeczyć. Wybrał, więc odpowiedź zgodną ze sztuką dyplomacji i niesłychanie enigmatyczną. A dlaczego miałyby się pani wybrać na cmentarz o dwunastej w nocy? Lepiej ta iść o jedenastej. Po tej rozmowie zaczęła ciotka opowiadać wszem i wobec jakie to straszne dziwy dzieją się na godzinę przed północą na cmentarzu powołując się przy tym na autorytet samego proboszcza. Dawała upust bogatej fantazji kreując przeróżne, niesamowite opowieści z pogranicza zaświatów a kiedy już wyczerpała swój zasób opowiadała o wielkiej przestrodze w postaci ognistych słupów, co ukazały się onegdaj nad Łodzią zwiastując nieuchronną wojnę, albo jakiś inny nie mniej straszny kataklizm.

- Modlę się codziennie, żeby Matka Boska odwróciła od nas to nieszczęście i przysięgam, jeśli mnie wysłucha to pójdę na kolanach podziękować Bogu –z patosem mówiła.

Po tej pełnej żarliwości religijnej deklaracji ciotka nadspodziewanie szybko wracała do realiów życia codziennego życia i stwierdziwszy, że się zbyt daleko zagalopowała dodawała prędko: Tak poszłabym, ale za stodołami. Te ostatnie słowa ciotki wyzwoliły mnie spod mocy tajemnych sił nieczystych. Strach przed demonami zastąpił pusty śmiech. Wszystko przez to, że wyobraziłem sobie jak z trudem przemierza się na zdartych do krwi kolanach twardą ścieżką wydeptaną za stodołami ścieżką w kierunku kościoła odległego o ćwierć kilometra. Parzyłem na Mirka, on też się uśmiechał tylko Maniek był nadal śmiertelnie poważny. Widać myślami ciągle był w szeroko otwartych przez ciotkę drzwiach do krainy czarów. Zamyślony nie zauważył jak Mirek daje mi jakieś znaki sugerujące nastraszenie naszego kolegi,

Ścieżka wiodąca od Gąsiorów do Stępników biegła obok bramy do naszego ogrodu. Obok uchylonej i wmarzniętej w śnieg furtki stała bezlistna brzoskwinia. Wcisnąłem się w tę szparę i starałem się przylgnąć do ceglanej ściany domu, żeby skutecznie nastraszyć wracającego do domu kolegę. Maniek spieszył się, żeby jak najszybciej pokonać przestrzeń, w której mogły kryć się demony, Szedł na tyle szybko na ile pozwalała mu oblodzona nawierzchnia ścieżki. Nie rozglądał się a kiedy mnie mijał krzyknąłem zmienionym głosem. Uchuuu! Uchuuu! Maniek jak wystrzelony z procy prawie przefrunął nad polami Błaźniaka i Mroczkowskiego.

- Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem wesoła nowina. Zanim ostatnie akordy tej triumfalnie brzmiącej kolędy wygasły pod palcami organisty Stanisława Amrozika przemarznięci na kościelnych schodach parafianie chyżo ruszyli do domów. Uniknęli w ten sposób zepchnięcia przez ciżbę ludzką, wylewającą się przez szeroko otwarte drzwi i bramę kościelną na ulicę. Czoło tego pochodu sięgało już obelisku Kościuszki na skrzyżowaniu głównych ulic, a część uczestników pasterki nie opuściła jeszcze świątyni. Nie wszyscy spieszyli się do domów. Grupa młodzieży z Folwarku wybrała dłuższą drogę powrotną za dworskim ogrodem. Dziewczyny szły przodem, rozmawiały głośno i chichotały. Chłopcy urwani spod rodzicielskiej opieki palili papierosy. Zrobiło się całkiem wesoło. Zabrzmiały głośno rubaszne słowa na melodię znanej kolędy.:

-„Przybieżeli do gospody we czterech.

Opuszczali gospodę na czterech.

Chwała alkoholowi, wódce, spirytusowi

A pokój w rynsztoku”.

Oj! Jak dobrze, że ksiądz Jan Brachowski nie mógł tego słyszeć?

Po świętach poszła fama przez wieś, że w polu pomiędzy domami Gąsiorów i Stępników straszy Ofiarą straszydła padł Maniek Szewca, który w wigilię tuż przed północą wracał do domu. Wystraszony chłopak tak pędził do domu, że omal nie wywalił drzwi wejściowych. Wpadł prosto pod pierzynę i niech chciał wyjść aż do rana. Śmiechu ludzie mieli, co niemiara a mnie po prostu było wstyd.